№ 52 Piątek, dnia 24 Września 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

DRZEW. WARSZAWSKI.

WARSZAWA dnia (12) 24 Września 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Ś-to Jerskiej Nr. 1769*b*. (nowy 12) róg Nowiniarskiej.

OD REDAKCYI.

Przed rokiem, wskrzeszając zawieszone chwilowo wydawnictwo **Ogniska Domowego**, odwoływaliśmy się do Publiczności z prośbą o poparcie naszych usiłowań, jakieśmy podjąć zamierzali dla uczynienia naszego tygodnika pismem rzeczywiście zajmującem i pożytecznem dla szerszego koła czytelników. I nie zawiedliśmy się w oczekiwaniach naszych. **Ognisko Domowe** od pierwszych zaraz numerów zdołało zyskać dla siebie sympatyą prasy peryodycznej i względy czytającej Publiczności, a liczba jego prenumeratorów wzrastała z każdym miesiącem. To poparcie, jakiego doznaliśmy od naszych Czytelników, dozwoliło nam od 1 kwietnia r. b. powiększyć rozmiar **Ogniska** przez dołączanie do każdego numeru stałych powieściowych dodatków, oraz poczynić inne zmiany w wydawnictwie, które Czytelnicy nasi przyjęli z zadowoleniem.

Obecnie, po roku istnienia, mając już dzięki coraz większemu poparciu ze strony naszych Prenumeratorów, byt stanowczo na przyszłość zapewniony—nie myślimy ani na chwilę ustać w naszej pracy, mającej na celu ciągłe dążenie ku lepszemu.

Ognisko domowe w obszernym zakresie zatwierdzonego dlań przez Władzę programu zdążać będzie nadal ku temu, aby stać się **pismem rodzinnem** w całem szlachetnem i obszernem znaczeniu tego wyrażenia. Nowi współpracownicy, zaszczytnie znani na polu piśmiennictwa naszego, powałani świeżo przez Redakcyą, chętnie i życzliwie przyrzekli swoję pomoc i poparcie. Listę ich nazwisk zamieścimy w **obszernym prospekcie**, który w krótce opuści prasy drukarskie.

Pomimo chwilowego opóźnienia się kilku numerów, **Ognisko Domowe** wychodzić będzie w dalszym ciągu bez żadnej przerwy, a w jaki sposób Redakcya zamierza rozwinąć wszystkie jego działy, — za pomocą jakich środków pragnie uczynić je coraz bardziej zajmującem i użytecznem — obszerniej i dosadniej opowie mający się w krótce ukazać **prospekt**.

Redakcya poleca **Ognisko Domowe** opiece pań naszych. Będzie bowiem jej staraniem podawać w tym tygodniku zdrową, posilną i o ile możności wykwintną umysłową strawę, zastosowaną do potrzeb rodzinnego kółka, którego ciepłym i żywotnym organem pragnie zostać **Ognisko Domowe**.

Prenumerować można **Ognisko Domowe** we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych tąk w Warszawie jak i na prowincyi, ponieważ jednak Ognisko Domowe z dniem 1 października r. b. przechodzi na własność Jana Noskowskiego, współwydawcy gazety „Wiek," przeto prenumeratę **najlepiej** przesyłać pod adresem **Kantoru Drukarni Jana Noskowskiego** w Warszawie, ulica Mazowiecka Nr. 11.

Prenumeratorowie **Ogniska Domowego** posiadać będą prawo do znacznie zniżonej przedpłaty na **Bajki Lafontaine'a** w nowym polskim przekładzie z prze- pysznemi rysunkami słynnego **Gustawa Doré**, które nakładem i staraniem **Jana Noskowskiego** wychodzić zaczną od 1 grudnia r. b. w nader ozdobnem i wykwintnem wydaniu.

Cena tego dzieła, które w całości obejmie około 930 stronic druku z 85 wielkiemi in 4-o rycinami i 500 mniejszemi rysunkami, dla **nie prenumerujących Ogniska Domowego** wynosić będzie w Warszawie rs. 16, a z przesyłką pocztową rs. 20. Warszawscy zaś **prenumeratowie Ogniska Domowego** będą mogli otrzymać **Bajki Lafontajne'a za rs. 11** lub też nabywać je zeszytami, których będzie razem 58 a wyjdą w ciągu roku jednego licząc od dnia 1 grudnia r. b. płacąc za każdy zeszyt **po kop. 20. Prenumeratorowie** na prowincyi otrzymają **Bajki Lafontaine'a za rs. 14** i opłatę na nie przesyłać mogą wraz z prenumeratą na **Ognisko Domowe**, która w takim razie wynosić będzie łącznie z przepłatą na **Bajki rs. 5** kwartalnie.

NA MYLNEJ DRODZE.
POWIEŚĆ
W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA.

przez

Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz w Numer 51).

Janusz przez kilka godzin błądził po zapełnionych ulicach, z początku bez myśli żadnej potem stopniowo zaczął z coraz większem zajęciem rozpatrywać się w dosyć dawno niewidzianem mieście; zaszedł do składu narzędzi rolniczych, tam znalazł dawnego kolegę z Marymontu, zaczęli razem przeglądać nowe zastosowania, nowe wynalazki, Janusz zrobił dla siebie parę zamówień, kolega z Marymontu także po obstalunek tu był zaszedł, wątku do rozmowy interesującej dla obu nie zbrakło.

Janusz spojrzał na zegarek, było już około drugiej z południa, dla wieśniaków sama pora na obiad, a że apetyt dawał się po trochu czuć, bo od rana nic nie jadł, zabrał więc kolegę i pojechali do Marego; obiad był dobry, wino przy nim jeszcze lepsze, koleżka chłopak wesoły, towarzyski, sympatyzowali z sobą od dawna i Janusz nie spostrzegł się nawet kiedy mu kilka godzin przyjemnie zbiegło a kiedy się rozstawali uczuł i myśl weselszą i siły rzeźwiejsze. Wieczorem pojechał znowu do pani Gasztołdowej; pomimo przykrości, jaką mu dziś już widok Wandy sprawiał tam go coś ciągnęło i mówił sobie: zawsze to swoi, ale tym razem swobodne obejście się i wesołość nie kosztowały go tyle co wczoraj; rozmawiał i żartował z Anną, ale już nie dlatego, że mu tak wypadało, ale że mu tak było dobrze a wróciwszy do siebie, wprawdzie westchnął jeszcze kilka razy ciężko, z głębi serca, ale kiedy usypiał, to przed sennemi oczami jego przesunęła się wdzięczna jasno-włosa postać Anny i zdało mu się, że słyszy jeszcze srebrny jej głosik, jej śmiech wdzięczny, a taki szczery i już usypiając, pomyślał sobie: jakie to szczęście, że ta przynajmniej nie taka jak tamta.

Szereg zabaw karnawałowych zakończony został w ostatni wtorek świetnym balem w resursie, danym na cel dobroczynny. Senatorowa Krasnopolska była jedną z gospodyń tego balu i nastała na to koniecznie ażeby pani Gasztołdowa z panienkami wzięła w nim także udział. Pomimo, że pani Gasztołdowa chciała ażeby Anna i Wanda poprzestały na prywatnych licznych i świetnych zebraniach, na jakich przez cały karnawał bywały, jednakże oprzeć się namowom senatorowej i usilnej prośbie Wandy nie mogła.

Na tem świetnem zebraniu, na którem znajdowało się około dwóch tysięcy osób, pomiędzy najsłynniejszemi pięknościami Warszawy, Wandzie jednogłośnie przyznano wieniec pierwszeństwa, i istotnie dnia tego przeszła sama siebie pięknością, którą podnosiła prześliczna toaleta obmyślana bardzo starannie przez senatorową, która co raz szerszą opiekę rozciągała nad synowicą, jako też znalezienie się pełne taktu i elegancyi.

Janusz znajdował się także na balu, ale pomimo czarodziejskiego powabu Wandy, pozostał niezachwianym; dzis była mu ona sfinksem niepojętym, jakąś amfibiczną istotą, mógł ją podziwiać, ale kochać już jej nie umiał. A za to z największą przyjemnością patrzył na Annę, która w białej tarlatanowej sukni, białych różach, na jasnych włosach, taka była urocza, w szykownym układzie całej postawy i ruchu, tyle miała prostoty i naturalnego wdzięku, że i ona wyróżniała się wśród tłumu strojnych i pięknych kobiet, ale jakoś w inny, zupełnie odrębny sposób. Janusz patrzył na nią i myślał sobie: oto prawdziwy typ naszej polskiej dziewicy, której jeszcze świat odurzyć i spaczyć w niej prawdy nie zdołał.

Orkiestra na galeryi zagrała dziarskiego mazura, młody Zadora podał rękę Annie i w posuwistym poskoku ochoczo poprowadził ją na środek sali.

Anna zarumieniona, uśmiechnięta, mknęła obok niego, po gładkiej jak szyba posadzce, lekko, polotnie, z tą spokojną abnegacyą kobiety co wierzy w nieomylność swego przewodnika. On czuwał nad nią i zręcznie prowadził wśród wiru tańczących i z serdeczną rozkoszą spoglądał na śliczną swoją tancerkę. Z dumą wodził okiem do koła i zdawał się mówić: patrzcie są jeszcze u nas i takie, alboż ta nie stokroć milsza i piękniejsza? I taki był rad i szczęśliwy, kiedy spostrzegł w oczach patrzących uwielbienie dla uroczej dziewicy, jakby ona była jego własną siostrą.

Zaraz po popielcu Janusz odjechał do domu, ale pomimo iż mu się zdawało w Warszawie, że rana jaką mu zawód doznany zadał, zabliźniła się znacznie, że potrafił ją wyrugować z serca i z myśli swojej, uczucie dla Wandy, to jednak kiedy wrócił do Starego-Dworu i znalazł się tam, gdzie od pół roku, żył tylko miłością dla niej, gdzie wszystko mu przypominało to uczucie, które całe jego jestestwo dotąd zapełniało, gdzie marzył i budował takie ułudne nadzieje, ból ozwał się silny na nowo, Janusz uczuł w sercu taką próżnię straszną, jakby wszystko w około niego zamarło. Szczęściem, pierwsze wrażenie już minęło i Janusz, którego charakter i wola z każdym dniem zdawały się nabierać hartu, mężnie oparł się słabości i obejrzał się w około siebie, szukając w czynie zapomnienia, a właśnie nadarzyła się po temu dobra sposobność: sąsiedzi i współobywatelowie, wyjeżdżali tłumnie na wybory, które miały się rozpocząć wkrótce. Kiedy Janusz oznajmił matce, że pragnie także przyjąć w nich udział czynny, pani Zadorowa aż ręce złożyła z radości: pierwszy to raz Janusz objawił chęć wstąpienia w obowiązki obywatela, które dotąd nietyle niedbale ile leniwie traktował.

W dzień odjazdu, Janusz wszedł do pokoju matki, ubrany w mundur obywatelski, na którego purpurowym kołnierzu, błyszczały złociste suto haftowane kłosy, szlachetne znamię obywatela—rolnika, ukląkł przy jej kolanach, mówiąc.

— Pobłogosław mi matko moja, w tym pierwszym kroku nowej drogi, mojego życia i pracy.

Wdowa po dzielnym Tadeuszu Zadorze, drżącą ze wzruszenia ręką, zakreśliła krzyż nad pochyloną głową syna, i głosem, w którym drgały razem łzy i szczęście, mówiła uroczyście:

— Błogosław ci Boże, mój synu, niech Jego święta łaska prowadzi cię niezachwianym po drodze, po której nieskalanie szli twoi przodkowie, jak oni stój zawsze mężnie w obronie prawdy i nieszczędź dla niej ni pracy, ni mienia. Oby na wezwanie sumienia wola twoja była jak stal twarda, a honor i obowiązek obywatela, były odtąd hasłem twego życia.

— Amen, cichym, ale silnym głosem powiedział młodzieniec, powstał i wyprostował się, zdawało się, że urósł i zmężniał, a na jego czole i w oczach, jaśniało coś takiego, co dawało pewność, że to błogosławieństwo matki i w niebie potwierdzone zostało.

Janusz pojechał, a przez czas jego niebytności, pani Zadorowa codziennie modliła się gorąco do Boga, o wzmocnienie woli syna. Po kilku tygodniach powrócił młody Zadora, zaszczycony wyborem współobywateli, na jeden z niższych urzędów powiatu; pomimo że Janusz był jeszcze tak młody wiekiem, obywatele przez pamięć zasługi i mienia Zadorów, zaszczycili go jednomyślnym wyborem, wprowadzając tym sposobem młodego potomka zasłużonej rodziny na pole pracy publicznej—taka to była wiara w moc tradycyi rodowej. Urząd to był podrzędny, więcej trudów niż blasku obiecujący, ale Janusz z największą go przyjął wdzięcznością, w krótkiej ale gorącej przemowie, podziękował współobywatelom za zaszczyt który mu zrobiono, wykazał, że rozumie to dobrze, iż nie mając za sobą osobistej zasługi tylko zasługom przodków zawdzięcza tę cześć jaka go spotyka, z prostotą, ale żywo usiłował zapewnić, że najwyższych usiłowań dołoży, wszystko poświęcić gotów, byle nie splamić poczciwego imienia, które nosić ma szczęście i nie zawiedzie tej wiary, jakiej mu tym wyborem dano dowody. Pełna zapału i prawdy przemowa Janusza, ujęła wszystkich za serca i na odpowiedź zawołano tylko głośno: nieodrodny Zadora!

Po powrocie z wyborów, Janusz wziął się natychmiast do objęcia swojego urzędu i tak czynnie a sumiennie spełniał swoje obowiązki

Z KRONIKI DWUTYGODNIOWEJ.

Wszystko na świecie w kółko się powtarza. Jak po wiośnie następuje lato, a po lecie jesień, tak po porze ogórkowej, którą teraz właściwiej byłoby nazwać ogródkową, następuje pora kalendarzowa a po tej znowu pora koncertowa i t. d. *da capo al fine.* Pierwsze zwiastuny obu tych pór, już się pojawiły. Z kalendarzy ukazały się najpierwej dwa, wydawane od lat siedmiu przez p. Keltera, t. j. *Warszawianin*, *kalendarz familijny* i *Kalendarz domowo-gospodarski* oba na rok przestępny 1876. Są to kalendarze, nie dorównywające ani objętością, ani ceną starszej swojej braci, która później dopiero ukaże się na widok publiczny. W skromnym jednak zakresie swego przeznaczenia z pożytkiem służyć mogą za książkę podręczną a praktyczną, tymbardziej że redakcya obu tych noworoczników jest sumienną i staranną.

Wadliwy zwyczaj tolerowanym jest w Warszawie, dozwalający podmiejskim mieszkańcom przywozić rozmaite produkty nieokiełznanemi końmi i w ten sposób jeździć z niemi nietylko po placach, ale i ulicach miasta. Koń nieokiełznany nigdy nie pójdzie w należytej ryzie, nie łatwo da się zatrzymać z wozem a tym więcej w razie potrzeby osadzić na miejscu. Oprócz podmiejskich mieszkańców jeżdżą również po mieście nieokiełznanemi końmi nietylko tak zwani woziwodowie, ale także piekarze, węglarze, ceglarze, piaskarze i inni, między którymi wielu amatorów kawalerskiej jazdy z próżnemi wracając wozami trzymają się zwykle zasady:

Pędź latawcze wiatronogi
Domy z drogi! ludzie z drogi!

a nie mogąc w razie potrzeby ani zatrzymać koni, ani ich odpowiednio skierować stają się powodem rozlicznych wypadków najechania a nawet rozjechania. Okoliczność ta, jako wprost przeciwna porządkowi publicznemu powinna zwrócić na siebie baczniejszą uwagę właściwej władzy i wywołać polecenie dla ajentów policyjnych bezwarunkowego wzbronienia wszystkim w ogóle jeżdzenia po ulicach miasta nieokiełznanemi końmi.

Warszawa coraz więcej poczyna nabierać znaczenia większych miast europejskich, tak dalece, iż chcąc być zrabowanym i pobitym w nieludzki sposób, niepotrzeba się już udawać po to do Berlina, Paryża lub Londynu, gdyż tak samo można być obsłużonym u nas, nietylko za Jerozolimskiemi rogatkami, ale nawet w tyle za szpitalem Ujazdowskim. Słyszeliśmy że sprawcy jednego z podobnych rabunków są już w ręku karzącej sprawiedliwości, ale cóż kiedy w parę dni powstórzyła się

że wkrótce zwrócił tem na siebie uwagę obywateli i sąsiadów, a poważniejsi znowu powtarzali: „prawdziwy Zadora.“

* * *

W Warszawie tymczasem skończyły się bale i tańcujące wieczory, a na ich miejsce rozpoczęły się rauty i koncerty publiczne lub prywatne, amatorskie na cele dobroczynne, dla Wandy nowe pole do wystąpień, hołdów i oklasków. Jednego z takich dni chwały, kiedy Wanda stała jeszcze na estradzie koncertowej, obrzucona kwiatami uczczona grzmotem oklasków, otoczona winszującemi niezwykłego powodzenia, senatorowa uniesiona chlubą i szczęściem podbiegła do E....ra, który rozradowany i wzruszony, siedział w rogu sali i cieszył się powodzeniem uczennicy.

— Tobie to panie zawdzięczamy chwałę naszej Wandeczki, mówiła ściskając rękę zacnego starca, jakże ci naszą najwyższą wdzięczność wyrazić potrafimy?

— Nie należy mi się pani senatorowo dobrodziejko wdzięczność żadna, nie moja w tem zasługa, panna Krasnopolska ma talent wrodzony tak niezwykły, że moja nieudolna pomoc bardzo mało przyczynić się mogła do tego ogólnego uznania, odpowiedział staruszek z właściwą sobie skromnością.

— Pan sobie żartujesz, jakkolwiek Wanda ma talent wrodzony, bez waszych wskazówek, jej muzyka nie dosięgałaby nigdy tego stopnia na jakim dziś stoi.

— Chciej pani dobrodziejko wierzyć, że szczerze mówię co myślę, gra panny Wandy istotnie należy do niepospolitych, ale o ileżby wyżej jeszcze sięgnęła, gdyby ją kształcili ludzie doskonalsi odemnie.

— Ależ panie!

— Za pozwoleniem łaskawa pai, ja sam czuję najlepiej czego mi braknie; muzyka ma to do siebie, że samą teoryą, muzykalnego smaku wyrobić nie podobna; można go kształcić tylko słuchając mistrzów i rozwinąć przez krytykę porównawczą. Synowica pani gra bardzo dobrze, u nas pomiędzy zacofanemi na tym polu, ale samaby się przekonała jak wiele jej jeszcze braknie, gdyby ją znalazła wobec istotnie genialnych europejskich artystów; a jednak szczerze pani mówię, że zaniedbywać takich zdolności się nie godzi.

— Ale cóż tu więcej zrobić można?

— Hm, pomruknął staruszek, pociągając tabakę i otrząsając palce zamyślony, należałoby ją kształcić w konserwatoryum paryzkim, z którego dzisiaj najpierwsi artyści świata wychodzą.

— Byłoby to bardzo trudnym do wykonania.

— A dla czegożby, wszakże jeżeli się nie mylę, pani senatorowa dobrodziejka co roku wyjeżdża za granicę—możeby razem—cośtego—ja nie wiem zresztą—ale sądzę.

— A wiesz pan co, to myśl doskonała, zawołała uradowana senatorowa, dla czegożbym ja nie miała z Wandą do Paryża pojechać?— ale, dodała po chwili, czy tylko pani Gasztoldowa zezwoli na tę podróż siostrzenicy, bo to widzisz pan, poszepnęła z cicha, poufnie, to najlepsza w świecie kobieta, ale cokolwiek zacofana, ma swoje przesądy.

E....r uśmiechnął się nieznacznie.

— Hm, tegobym nie sądził.

— Ale tak jest wierz mi pan.

— Jednakże w tym względzie nie zdaje mi się ażeby stawiła jakąś opozycyą, jak uważałem bardzo kocha siestrzenicę i nie zechce tamować jej przyszłości.

— A to chyba pan raczysz mi dać dowód swej przyjaźni i zechcesz dopomódz w tem, ażeby uzyskać przyzwolenie kuzyny; przedstawienia pana będą jak sądzę najskuteczniejsze.

— I owszem szanowna pani dobrodziejko, o ile będę mógł starać się, będę wpłynąć na przekonanie pani Gasztoldowej.

Senatorowa raz powziąwszy myśl wywiezienia Wandy do Paryża, nie usnęła spokojnie dopóki się nie upewniła, że ją bez przeszkody do skutku przyprowadzi. Powodzenie Wandy w świecie pochlebiało jej własnej próżności; zdawało się jakby jej własne upodobanie w hołdach i uwielbieniu odradzało się na nowo i przywiązała się do synowicy o tyle o ile przywiązanie może być silnem na takiej wątłej podstawie oparte. Gorąco pragnęła zagarnąć całkowicie Wandę pod swoję opiekę, ale miała jednak tyle poszanowania dla praw pani Gasztoldowej, która tak sumiennie młodej sierocie miejsce matki zastępowała, że aczkolwiek lekka z charakteru nie śmiała jednak otwarcie z tą propozycy wystąpić. Wanda sama złamała wszelkie skrupuły, głównym celem jej dążenia było wyrwać się w jaki bądź sposób z pod opieki ciotki, która ją nudziła i krępowała w bujnych zamysłach; bez względu więc na to tyloletnie uczucie prawdziwie macierzyńskie, którem ciotka otaczała ją od dziecka, na tę czułość trosklimą okazywaną jej przez rodzinę Gasztołdów, stanowczo stanęła po stronie senatorowej, wypowiadając w słowach ostrych i suchych, że jeżeli ciotka nie przychyli się do przedstawień senatorowej i E....ra, mających jej dobro na celu i zechce zamknąć ją w Zalesiu, to weźmie na swoję odpowiedzialność jej przyszłość, którą ona za złamaną uważać będzie. Takie bezlitośne powiedzenie Wandy, takie zimne podeptanie wszystkiego co zasługiwało na miłość wzajemną z jej strony, gorzko zabolało panią Gasztoldową; tyle pracy i starań usilnych, ażeby w młodzieńczej duszy sieroty rozwinąć uczucie serdeczne, wszystko to poszło na marne; zasady jakie usiłowała wszczepić w jej serce, wpływ zimnego świata przy pierwszem zetknięciu się, wyziębił do szczętu, to było bolesnem dla zacnej i sumiennej opiekunki i z razu słowa jej zamarły na ustach z boleści i po chwili dopiero zdobyła się na odpowiedź surową ale spokojną:

— Dziecko szalone, — mówiła, ogarnięta szałem niepowściągnionej wyobraźni, gonisz za blichtrem światowego blasku i domagasz się niby szerszych zakresów dla działalności, ale nie łudź się naprózno, tyś zaślepiona, nie czujesz tego, że właściwie nie o czyn ci chodzi, alè o świecznik, na którym ten czyn postawić cię może; namiętna próżność pcha cię na widownią publiczną, a egoizm domaga się samowoli. Obojętnie wyrzekając się miłości i uczuć sercowych, z pogardą depcesz powołanie kobiety i ślepo się rządzisz zimnem rozumowaniem, a wieszże ty dziecię o ile sam jeden rozum niedostatecznym jest dla człowieka, jak często na mylne drogi prowadzi. Nie obawiaj się, nie stanę ja ci przeszkodą na drodze twojego szczęścia, jak mówisz; zatrzymać cię nie mam prawa, idź tam gdzie cię pcha tak gwałtownie gorączkowa żądza samodzielności; odpychasz nasze kochające serca, wyrywasz się z naszego koła i rzucasz się w świat wielki i obcy, obyś w nim szczęście znalazła, oby ci on, próżnię twojego serca zapełnić zdołał!

Wanda patrząc przez okno na przechodzących, obojętnie, z zaciśniętemi usty słuchała gorących słów ciotki; jej o to tylko chodziło aby bądź co bądź wyrwać się co prędzej z pod jej opieki, wiedziała że senatorowa będzie ślepem narzędziem jej woli.

I tak w przedostatnim tygodniu wielkiego postu rozjechano się w dwie przeciwne strony: senatorowa z Wandą za granicę zdążając na Wielki Piątek do Rzymu, skąd w maju dopiero miały wyjechać do Paryża, jak to była Wanda ze zwykłą sobie arbitralnością ułożyła, a ku czemu senatorowa z całą powolnością się przychyliła. Pani Gasztoldowa z Anną odjechały do swego ukochanego Zalesia. Rozstanie się dwóch sióstr, nierozłącznych od lat dziecinnych towarzyszek było ze strony

---

znowu taż sama scena bezkarnie. Miejscowość bowiem sama sprzyja tym opryszkom miejskim, nastręczając łatwą sposobność ukrycia się w zasadzce, lub w razie pogoni ratowania się ucieczką. Silne jedynie patrole i straże mogą powstrzymać zbrodniarzy, od popełniania nadal podobnych bezprawi i zapewnienia mieszkańcom należnego im bezpieczeństwa zdrowia, życia i mienia.

Ktoby śmiał utrzymywać że Warszawa nie należy do rzędu znajczniejszych miast europejskich, tegoby posądzono nietylko o zupełną nieznajomość geografii, ale nawet o demencyą lub kandydaturę do czubków. My sami skutkiem przywiązania do naszego rodzinnego grodu wszystkie pozarogatkowe miejscowości powszechnie zwykliśmy nazywać *prowincyą, partykularzem*. I bylibyśmy dłużej w tem błogiem pozostawali upojeniu, gdyby przypadkiem nie wpadło nam w ręce rozporzędzenie francuskiego ministra policyi wzbraniające prowadzenia niektórych procederów w znaczniejszych miastach Francyi zwłaszcza w dzielnicach więcej zaludnionych. Do tych należą: *wyrabianie krochmalu, mydła, świec, tektury, cykoryi, laku, kleju stolarskiego*, oraz składy *szmat i farbiarnie*. Tymczasem z wzrostem Warszawy partykalaryzm ten coraz więcej dokuczliwym się staje, gdyż to samo co we Francyi wywiera szkodliwy wpływ na zdrowie, co może stać się przyczyną pożaru, też same skutki i w naszym grodzie sprowadza. Że zatem na Marszałkowskiej ulicy gotują mydło, to wonie stąd wydobywające się usprawiedliwia rachuba na zdrowsze nasze płuca od francuskich i mniej delikatne powonienie, lecz że po miastach tamtejszych wzbronionem jest prowadzenie fabryk lakierowania kapeluszy, to usprawiedliwia ta okoliczność, że w Warszawie rzeczone fabryki były powodem dwukrotnego dość znacznego pożaru.

Nie należy powątpiewać, że władza miejscowa skutkiem wzrostu miasta, powiększającej się ludności, w interesie zdrowia i życia mieszkańców, ubezpieczenia ich mienia, wszystkie wytworcze procedery, nieodpowiadające warunkom sanitarnym lub bezpieczeństwu od ognia poleci rozlokować odpowiednio do przyjętego podziału, częścią na zacofanej Pradze, częścią w podokopowych okolicach, a składy szmat i tandety z Wałowej ulicy za rogatkami miasta, określając pewne dni w tygodniu które na sprzedaż w oznaczone miejsca przybywaćby mogli handlarze.

Pora koncertowa rozpoczęła się u nas w roku bieżącym pod dobrą wróżbą. Znany impresario pan F. Strakoch urządził na otwarcie tegorocznego sezonu koncert w sali resursy obywatelskiej i zaprodukował nam swoje siły artystyczne—które odrazu zyskały współczucie i poklask publiczności, bo wszystkie trzy

k

Anny łzawe i smutku pełne, ze strony Wandy zaś suche i obojętne. Wanda nagliła do odjazdu z gorączkową niecierpliwością, drżała żeby jaka nieprzewidziana okoliczność nie popsuła jej szyków. Kiedy nareszcie konie pocztowe zaprzężone do podróżnej karety, stały w bramie i senatorowa siadała już do powozu, Anna jeszcze z głośnem łkaniem rzuciła się na szyję siostry, nie mogąc się powstrzymać od spazmatycznego płaczu, Wanda bez łzy w oku z uścisków Anny wyrwała się niecierpliwie i pospieszyła do powozu i tak jej było pilno że nie miała czasu pochylić głowy pod błogosławieństwo ciotki i krzyż zakreślony w powietrzu ręką płaczącej cicho pani Gasztoldowej, pogonił za nią już wsiadającą do karety. Pocztylion zatrąbił, kareta potoczyła się szybko po bruku ku Jerozolimskim rogatkom, a Wanda klasnąwszy w ręce radośnie uścisnęła senatorowę.

— A moja stryjenko droga, jakże ja stryjence wdzięczna jestem, że mnie nareszcie uwolniła z tych kajdan, powiedziała promieniejąca radością i rozmowa poszła dalej tym torem.

A tymczasem pani Gasztoldowa uprowadziła zanoszącą się od płaczu Annę i tego samego wieczora i one także wyjechały z Warszawy.

* * * (*D. c. n.*)

ODKRYCIA i WYNALAZKI.

Żniwiarka „WARSZAWIANKA"

Floryana Grubińskiego.

Zapewne wiecie czytelnicy, że ludzie wymyślili maszynę, która zboże na pniu będące tnie i układa w garście, gotowe już do wiązania. Maszyna taka zastępuje pracę rąk i zmniejsza potrzebę wielu robotników, co jest wielkiej doniosłości w gospodarstwie, zwłaszcza obecnie, gdy najem ludzi jest coraz trudniejszy i droższy. Każdy nowy wynalazek przechodzi koleje, fazy, próby, ulepszenia, zanim się udoskonali i wejdzie w użycie, otoż i ta maszyna, którą nazwano „żniwiarką," (po niemiecku Mähmaschine) była z początku inną, aniżeli obecnie się przedstawia.

Pomysł zastąpienia rąk ludzkich w ciężkiej pracy żniwa siłą mechaniczną najpierw powstał u nas w Polsce pół wieku temu, w czasach pańszczyzny, gdy nie brak było rąk do sprzętu, a więc jedynie ze szlachetnych pobudek przyniesienia ulgi ludności wiejskiej i oszczędzenia jej sił przy najcięższej z prac rolnych. Pomysł zatem żniwiarki słusznie uważać możemy *za własność naszą*, a chociaż wyprzedzono nas potem w wykonaniu jednak ze względu na powody pomysł sam chlubę kraju stanowi.

W roku 1823 powziął go Zakrzewski mechanik warszawskiego arsenału, następnie Tymieniecki przez lat 20 poświęcał żniwiarce z zaparciem osobistych stosunków czas swój i mienie, a stargawszy przy niej siły i zdrowie zmarł przedwcześnie.

W sprawie żniwiarki położyli także zasługi: Rolbiecki, Żarski, Heurich, Jakuszyk, Pol Ks. Podlaszecki, Lilpop, oraz Meizner w Lublinie. Anglicy i amerykanie pracujący podówczas w naszych fabrykach, następnie powróciwszy do Albionu podjęli myśl naszych rodaków i wykonali u siebie żniwiarkę, która po przejściu różnych zmian i ulepszeń stała się taką, jaką ją obecnie widzimy i używamy.

Wszystkie dotychczasowe żniwiarki mają system poruszania noży i zgarniaczy za pomocą kół zębatych czyli trybowych (jak w zegarkach) oraz łańcuchów żelaznych.

Wszakże mechanizm ten ma w zastosowaniu bardzo wiele niedogodności: często się psuje, zanieczyszcza i jest bardzo skomplikowany; wszystkie koła trybowe są z lanego żelaza, przez co naprawa w razie zepsucia, nie może być przez wiejskiego kowala dopełniona—trzeba koniecznie posyłać do fabryki żelaznej lub giserni albo do składu, skąd żniwiarka pochodzi, aby nabyć nową część w miejsce zepsutej.

Niedogodność ta bardzo czuć się daje; powstające zewsząd skargi na niepraktyczność dotychczasowych systemów utrzymują fabrykantów i inżynierów w pracy w kierunku ulepszeń, wszystkie atoli dotychczas zaprowadzone poprawki, nie okazały się zadawalającemi, zdawało się, że kwestya ta nie zostanie rozwiązaną i już nie jeden rolnik sądził, że trzeba będzie powrócić do sprzętu ręcznego, kosztownego ale pewnego i przynajmniej nie narażającego na częsty zawód z przyczyny potrzeby reperacyi.

Obecnie trudne to zadanie rozwiązanem zostało i znów chluba naszemu krajowi przypada w udziale, albowiem mieszkaniec Warszawy p. Floryan Grubiński technik-mechanik po ośmioletniej pracy wymyślił i zbudował taką żniwiarkę, która porusza się z większą szybkością i równością aniżeli inne zagraniczne, a co ważniejsza, że w jej mechanizmie nie ma ani jednego koła zębatego (trybowego), ani łańcucha.

Szczelnie w bębnie zamkniętym motorem poruszającym noże (piłę, kosę) jest rolka stalowa, osadzona na sztyfcie. Motor ten w skutek zamknięcia jest od kurzu, zboża i zwiru zabezpieczony. Umieszczone na zewnętrznej ścianie bębna cztery łuki tworzą krzywiznę szybko i regularnie obracającą zagarniacze.

Oryginalny i bardzo prosty pomysł p. Grubińskiego, nazwany przez niego „Warszawianką," został opatentowany przez wszystkie rządy europejskie i przez Amerykę. Wszystkie żniwiarki wyrobione w r. 1873 w warsztatach mechanicznych Jana Woroncow—Weliaminowa odbyły w wielu miejscach żniwa, jak np. w Otrębusach pana Lewenberga, w Strachówku pana Jakuba Hay, oraz w majątkach dla których były zakupywane i gdzie dotąd bez przerwy funkcyonują. Z powodu licznych zamówień i przystąpienia do współki jednego z naszych kapitalistów zmieniono sposób fabrykacyi; niektóre części żniwiarki wykończyły się w fabrykach krajowych, a inne w zagranicznych; ten system jednak okazał się zupełnie niepraktycznym; ani wyrób, ani materyał nie zrównały wynalazkowi jak tego dowiódł konkurs w r. 1874 pod Rakowcem i przyczyniwszy wreszcie współce znakomite straty tak materyalne jak i moralne spowodował w końcu jej rozwiązanie.

W roku 1875 p. Grubiński zawarł nową współkę i w miesiącu maju wyjechał z swą żniwiarką do Prus na dwie wystawy rolnicze w Rothfliess pod Królewcem i w Kistrzyniu pod Berlinem 20 i 29 maja odbyte.

O powodzeniu na tych wystawach czytamy co następuje:

W Nr. 216 Kuryera Codziennego z 1 czerwca 1875 r. „Żniwiarka pomysłu p. Grubińskiego nazwana „Warszawianką," o której nadzwyczajnem powodzeniu donieśliśmy i która na wystawie w Rothfliess w d. 21 maja r. b. otrzymała dyplom honorowy, zaszczyconą została na drugiej wystawie rolniczej w Kistrzyniu (10 mil od Berlina) w d. 29 maja r. b. najwyższą nagrodą za żniwiarki przeznaczoną, t. j. medalem srebrnym. Na tejże wystawie specyalnie rolniczej było aż 375 rozmaitych fabryk żniwiarek i kosiarek przedstawionych z których tylko dwóm mianowicie: Warszawiance i Johnstona medale srebrne, innym zaś żadnych nagród nie przyznano. Warszawianka

---

osobistości z jakiemi nas p. Strakoch zapoznał posiadają rzeczywiste talenta. Panna Donadio, ma głos piękny i dźwięczny choć niezbyt wielki, ale zato wyrobiony technicznie do możliwych granic. To też zwłaszcza tryle i biegniki wychodzą z godną podziwienia dokładnością, tak że każda nuta jest jakby osobną perełką. Pan Hollman jest prawdziwym artystą na wiolonczeli. Gra jego pewna i znakomicie wykończona odznacza się nadto niekłamanem uczuciem i wybornem zrozumieniem wykonywanych utworów. Słowem młodemu jeszcze artyście świetną wróżyć można przyszłość. Pan Hollander, skrzypek, odznacza się grą czystą, dobrym mechanizmem, i nieubieganiem się za efektami—krótko mówiąc, grze jego nic zarzucić nie można, ale nie jest to gra, któraby głębokością uczucia porwać była w stanie. Czy ten chłód będzie charakteryzował grę pana Hollandra i na następnych koncertach?—zobaczymy.

W brew wszelkim oczekiwaniom i wróżbom loterya fantowa w Ogrodzie Saskim odbyta w zeszłą sobotę, powiodła się najzupełniej. Sprzyjała jej piękna pogoda i dzień, o ile to we wrześniu jest rzeczą możliwą, był jasny, słoneczny i ciepły. Fortuna, jak zwykle, przeróżne wybrańcom swoim płatała figle i wyrządzała niespodzianki. O ile wiemy ma to być ostatnia loterya, jaka się odbyła w ogrodzie Saskim, który na przyszłość nie będzie już podobno szpeconym przez całe tygodnie sterczącemi po namiotach szkieletami, ani niszczonym przez tłumy publiczności nie umiejącej często uszanować tego, co stanowi własność publiczną i jedną z najpiękniejszych ozdób naszego miasta.

Wydawca *Tygodnika Illustrowanego* i *Wędrowca* pan Gracyan Ungier otrzymał świeżo koncencyą na nowe pismo ilustrowane, które p. n. *Biesiada literacka* wychodzić zacznie od przyszłego nowego roku. Będzie to organ poświęcony przeważnie beletrystyce jak wnosić można z zapowiedzianego programu w którym spotykamy: powieści i romanse oryginalne i tłómaczone, dramaty, komedye, artykuły społeczne, kronikę spraw bieżących i dział polityczny. Dotychczas beletrystyka nie znalazła u nas odpowiedniego dla siebie ilustratora i dlatego nie mamy prawie powieści ilustrowanych. Będzie to zatem nowość która może wywołać ruch na mało dotąd uprawianem przez naszych rysowników polu. Redakcyą nowego szasopisma powierza wydawca panu Władysławowi Maleszewskiemu, znanemu dobrze na niwie beletrystyki pisarzowi, który nadto próbował już także z powodzeniem sił swoich na polu dramatu. Wybór więc pana Maleszewskiego na redaktora *Biesiady* zdaje się być pod każdym względem szczęśliwym.

odbyła tamże dwugodzinny konkurs na zbożu wraz z Johnstonem i Ceresem zaś inne żniwiarki od konkursu wstrzymały się; odmierzone pole zżęła wybornie. Tak więc w ciągu jednego tygodnia p. Grubiński na dwóch wystawach rolniczych najwyższe zyskał nagrody za „Warszawiankę.“

W Nr. zaś 24 Przyrody i Przemysłu z 5 (17) czerwca 1875 r. w artykule pod napisem: „Kilka słów o żniwiarce „Warszawiance“ z okazyi Wystaw rolniczych w Rothfliess i Kistrzyniu,“ czytamy co następuje:

„Specyalny nasz sprawozdawca konkursu żniwiarek na polach Rakowca pod Warszawą w zdaniu swojem o żniwiarce p. Grubińskiego zupełnie się nie pomylił: jeżeli wszystkie żniwiarki, powiada nasz sprawozdawca, są mniej więcej jednego typu pod względem konstrukcyi, wszystkie składają się z 3 lub 4-ch par trybów i łańcucha bez końca, to „Warszawianka“ pod względem konstrukcyi stanowi typ zupełnie oryginalny, w którym koła zębate i łańcuchy zastąpione są rolkami toczącemi się po odpowiednio przygotowanych drogach i który tak nowością pomysłu jak i istotną swą wartością zasługuje na ogólne uznanie. Szkoda, że fabrykacya nie dorównała wynalazkowi z przyczyny zbytniego pośpiechu. Zdyskredytowało to Warszawiankę w opinii ziemian naszych, zdyskredytowało nawet zanadto. Ale wartość wynalazku zostaje nienaruszoną i skoro tylko fabrykacya dorówna pomysłowi, Warszawianka zjedna sobie bezwątpienia zasłużone uznanie w praktyce.

Takie było zdanie naszego sprawozdawcy o Warszawiance p. Grubińskiego; inne zupełnie Komitetu Wystawy Rolniczej, który Warszawiance, pomimo że ta dotrwała do końca konkursu, w rubryce zatytułowanej, „ostateczny rezultat“ *żadnego* stopnia nie przyznał, gdy tymczasem żniwiarce Balance Standard Komitet stopień, jakkolwiek ostatni przyznał chociaż tę żniwiarkę wystawcy w ciągu konkursu wycofali. Widocznie, iż gościnność nie pozwoliła na uczynienie obrazy wyrobowi zagranicznemu — swojski zaś prawdopodobnie z góry postanowiono potępić.

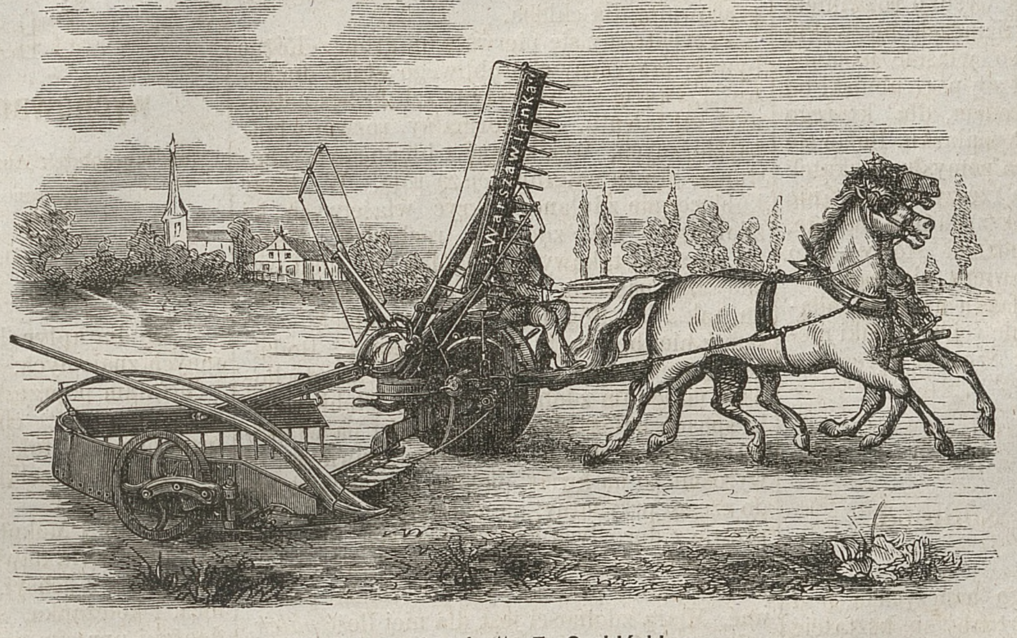
Dlaczego?.....

Zobaczmy jak żniwiarkę p. Grubińskiego sądzono za granicą. W Mettray, we Francyi, „Warszawianka“ na konkursie wcale pokaźne zajęła miejsce, a na dwóch konkursach odbytych w Rothfliess i Kistrzyniu, (w Niemczech) odniosła tryumf!

Na konkursie w Rakowcu żniwiarki Johnstona otrzymały pierwszą nagrodę, Warszawianka *zupełnie* wyłączoną została.

W Rothfliess (Prusy) na wystawie odbytej dnia 21 maja r. b., żniwiarka p. Grubińskiego otrzymała „pierwszą nagrodę.“ A zatem u nas postawioną na plan ostatni, wyłączoną zupełnie Warszawiankę,—Niemcy, którzy nie zbyt są pochopni do uznania wynalazków obcych, a tym bardziej słowiańskich, pomieścili na pierwszym planie. Jeśli Komitet naszej wystawy umiał osądzić Johnstona, dlaczego się tak pomylił na żniwiarce p. Grubińskiego.

W Kistrzyniu (Prusy) na konkursie odbytym d. 29 maja r. b. Warszawianka otrzymała medal srebrny, najwyższą nagrodę dla żniwiarek— Johnston również medal srebrny.



„Warszawianka“ F. Grubińskiego.

Zdaje się, że Niemcy nie zrobili p. Grubińskiemu komplementu, dając mu pierwsze nagrody, ale ocenili jego wynalazek i to bez wątpienia z całą surowością.

Dodać tu należy, że odlewy do żniwiarki wystawionej w Rothfliess i Kistrzyniu zrobione zostały w fabryce p. Rudzkiego, zestawienia zaś i wykończenia w szczegółach dokonał sam p. Grubiński w swojem mieszkaniu.

Sądzimy, że ziemianie nasi zajmą się szczerze tą sprawą, która tak ze względu na praktyczność żniwiarki Warszawianki jak i ze względów ekonomicznych jest wielkiej doniosłości.“

O żniwiarkach p. Grubińskiego w Gazecie Toruńskiej czytamy co następuje: „Sędziowie konkursowi ogłosili opinię swoją co do wczorajszego konkursu żniwiarek urządzonego przez Poznańskie Towarzystwo rolnicze niemieckie. Zapisanych do popisu było 14 żniwiarek, z których o jednej wcale przecież nie uczyniono zapisów. Sędziowie zwracali na 7 przymiotów żniwiarki swoją uwagę: na trwałość, zużywanie siły, szerokość zajmowanego pokosu, jakość cięcia, jakość odkładania, praktyczność konstrukcyi i taniość ceny. Sąd wyrażali punktami, których pewna liczba znaczyła odpowiedni predykat, a te były: wyborna, bardzo dobra, dobra, średnia, pośledna i zła. Suma punktów dochodząca liczby 500 znaczyłaby *wyborna we wszystkich 7 przymiotach*; predykatu takiego nie zyskała żadna z konkurujących żniwiarek. Co do zyskanych przez Warszawiankę to punktów odpowiedniemi predykatami są następujące, co do każdego przymiotu 1) trwałość *bardzo dobra* 2) zużywanie siły *średnie* 3) szerokość pokosu *bardzo dobra* 4) jakość cięcia *bardzo dobra* 5) jakość odkładania *bardzo dobra* 6) praktyczność konstrukcyi *wyborna* 7) taniość *bardzo dobra*.“

Nietylko prasa tutejsza o tej młodej żniwiarce pochlebnie się wyraża; zagraniczne dzienniki zastanawiają się, szczegółowo rozbierają i wychwalają ten wynalazek naszego rodaka. Z pomiędzy wielu dość przeczytać specyalny organ wychodzący w Berlinie pod nazwą „Deutsche Landwirthschaftliche Presse“ Nr 60 z d. 31 lipca r. b. w którym w obszernym, szczegółowo rzecz traktującym opisię pomieszczono z możliwą dokładnością sposób funkcyonowania „Warszawianki“ jej praktyczność i wartość. W artykule tym profesor C. Kesseler-Greifswald, przyznając i oceniając wszystkie przymioty Warszawianki tak się wyraża.

„Konstruktor Warszawianki pokonał wszystkie trudności, zwycięzko usunął części ulegające zanieczyszczeniu i psuciu, zabezpieczył mechanizm od kurzu, żwiru, ziemi i t. p. przeniósł ruch obiegowego koła na przyrząd tnący w tak prosty i łatwy sposób, że to wszystko znamionuje w nim *genialnego konstruktora*........ Korzyści tego systemu biją w oczy, nie ma tu żadnych trybów, kół zębatych, łańcuchów, pasów wymagających szczególnego dozoru zmian i poprawek podczas pracy w polu. Jedyną częścią mogącą wymagać zmiany, jest mała rolka stalowa, którą w większej ilości po cenie 10 sr. gr. można mieć w zapasie. Również bez kół trybowych wprawiony jest w ruch przyrząd odkładający zboże albowiem na zewnętrznej ścianie koła obiegowego są umieszczone cztery żebra zgięte w pewną obrachowaną krzywiznę, działające na karuzel opatrzony rolkami żelaznemi w taki sposób, iż ten obraca krzyż cztero ramienny, (nachylacze i grabie).

Przy tym nader prostym spokojnym i akuratnym obrocie jest niepodobieństwem, aby wynikła jakakolwiek niedokładność lub opór tak ze strony mechanizmu jako też i zboża.

Autor kończy w te słowa: Mamy więc do czynienia na polu postępu żniwiarek ze zjawiskiem zasługującem na najwyższą uwagę i ocenienie, gdyż posiada wszystkie oznaki zdrowych zasad mechaniki.

„Berliner Bürger Zeitung“ w Nr. 188, z dn. 14 sierpnia r. b. wypowiada ostateczne i stanowcze zawyrokowanie kompetencyi w przedmiocie żniwiarek, w artykule następującej osnowy: Rozpowszechnieniu się maszyn rolniczych a szczególniej żniwiarek stawała na przeszkodzie ta trudność, że pomiędzy wszystkiemi konstrukcyami żniwiarek, ile ich tylko istnieje, nie było dotąd żadnej, którąby nie posiadała wad mniej lub więcej dla rolników groźnych. Wadliwość ta tkwi głównie w kołach zębatych czyli trybach, które w czasie żniw ulegają zepsuciu sprawiając przez to nieprzyjemną zwłokę a nawet niepowetowaną stratę, szczególniej po wsiach, gdzie naprawy z wielkiemi trudnościami są połączone.

Według jednozgodnej opinii (Nach uebereinstimmenden Urtheil der Sachverständigen) kompetentnych znawców, wyróżnia się z pomiędzy wszystkich nowa żniwiarka „Warszawianka“ (którą wynalazł *Floryan von Grubiński* z Warszawy i otrzymał na nią patent swobody we wszystkich Państwach) nadzwyczajną prostotą mechanizmu. Jako nader ważne ulepszenie w tej żniwiarce zasługuje na pochwałę to: że *w niej nie ma ani jednego koła trybowego, żadnego łańcucha ani pasa i że motor poruszający noże jest najzupełniej zabezpieczony od piasku, kurzu, nieczystości, zboża i t. p.*“

Obok powyższych zdań czerpanych przeważnie z dzienników i gazet zagranicznych i w naszej prasie specyalnie rolnictwu poświęconej spotykamy chlubne dla Warszawianki oceny. Dowodem tego artykuł p. Małowies-

kiego pomieszczony w Nr. 35 Tygodnika Rolniczego z dnia 28 sierpnia r. b., w którym autor, sam praktyczny ziemianin przyznaje wszystkie zalety żniwiarce pomysłu p. Grubińskiego i zwraca uwagę na tę ważną okoliczność, że funkcyonować może z pożytkiem w takich nawet warunkach, w jakich żadna ze żniwiarek zagranicznych działać nie jest zdolną t. j. nawet na polu najeżonem kamieniami i bryłami zeschłej ziemi, oranem w składy i porosłem zbożem rzadkiem i niskiem.

Pozwoliliśmy sobie zająć uwagę czytelników kilkoma przytoczeniami z pism specyalnych postępując wbrew przyjętemu przez nas zwyczajowi. Ale tym razem niechaj chęć pochlubienia się wynalazkiem rodaka stanie się naszem usprawiedliwieniem. Gdyby te pochwały pochodziły od naszej tylko prasy—zamilczelibyśmy o nich zupełnie, Ale w obecnym wypadku rzecz ma się całkiem przeciwnie. Żniwiarka p. Grubińskiego przyjęta początkowo z zapałem przez naszych ziemian, została następnie zdyskredytowaną przez złe wykonanie niektórych jej części i już zdawało się, że pierwotnego chlubnego rozgłosu odzyskać nie zdoła. Tymczasem stało się inaczej. Wynalazek p. Grubińskiego potrafił zjednać sobie najzupełniejsze uznanie i to nie między swoimi ale pośród sąsiadów z nad Szprei, którzy jak wiadomo mają miłość własną wysoko rozwiniętą i w sądzie swoim o cudzoziemcach niezwykłą kierują się surowością. To właśnie uznanie, jakiego świeżo doczekał się p. Grubiński od Niemców, stało się powodem, dla którego wspominamy dziś o jego wynalazku. Bojąc się zaś, abyśmy żniwiarce jego pomysłu, w skutek możliwego zaślepienia dla rzeczy swoich, nie przyznawali pochwał większych nad zasługę, woleliśmy się wyręczyć cudzemi słowy—a to tym bardziej, że w nich zawiera się sąd obcych specyalistów o wynalazku naszego rodaka, któremu na zakończenie tej wzmianki niesiemy szczere i serdeczne: *Szczęść Boże.*

Aktoromania kobieca.

— Czy pan znasz jakiego nauczyciela, pod kierownictwem którego można by się kształcić na artystkę dramatyczną?—spytała mnie raz pewna młodziutka panienka.

— Czy pani zamierza poświęcić się temu zawodowi?

— Tak panie!

— Czy można spytać o pobudki, jakie skłaniają panią do wstąpienia na strome wyżyny sztuki?...

— Czuję powołanie do tego zawodu... a po troszę i dla chleba!

— Daruje pani, że tylko pierwszą pobudkę uznam za słuszną. Jeżeli rzeczywiście urocza Melpomena zatliła w jej piersi ogień artystyczny, to nie należy marnować prawdziwych zasobów talentu. Ale strzeż się pani!—czy to przypadkiem nie złudzenie! Co się zaś tyczy pracy jedynie dla chleba, to, daruje pani—nie tu pole dla niej! Jeszcze jedna uwaga. Na śliską wstąpisz pani drogę!... Należy dobrze obrachować się z siłami swemi!...

W rok po tej rozmowie z obowiązku krytyka znajdowaliśmy się na debiucie młodej kandydatki na artystkę dramatyczną. Czytelnicy zgadną zapewne, że była nią właśnie owa młoda panienka. I cóż?... Debiutantka wykazała słabe bardzo siły artystyczne, i powzięliśmy przekonanie, że wyżyny sztuki nie stały dla niej otworem. Pewne niemożebne do pozbycia wady w dykcyi usuwały wszelką nadzieję rozwoju zdolności scenicznych. Widzimy więc, że poczucie powołania było tu mylnem zupełnie.

Oto jeden obraz, który się, niestety, dosyć często u nas powtarza.

Przypatrzmy się teraz drugiemu.

Widzieliśmy niejednokrotnie różnego rodzaju młode kobiety, którym sprzykrzyła się niewdzięczna praca przy igle, warsztacie i t. p. wstępujące z zimną piersią do świątyni sztuki, bez szczerego zamiłowania jej, bez błędnego choćby poczucia zdolności, jedynie... dla chleba. Co gorzej, widzieliśmy istoty upadłe, zasłaniające swą nędzę moralną uroczą sztą sztuki, i kalające szlachetny jej przybytek.

Oto wypadki, które się często u nas powtarzają, a w ostatnich czasach niezmiernie się upowszechniły, tak że niepodobna nie dopatrzyć szkodliwej nader choroby, którą nazwiemy *aktoromanią kobiecą*. Choroba ta uwydatnia się i w mężkiej połowie rodu ludzkiego, ale tam mniej doniosłe ma znaczenie. Tu zaś wiąże się z ważną nader kwestyą *zarobkowania kobiecego*

Usuwając na bok grono prawdziwych kapłanek sztuki, zwrócimy uwagę na dwa szeregi niepowołanych aspirantek do krainy artyzmu. Do pierwszego należą te, którym zabłysło fałszywe światło powołania—do drugiego, pracownice dla chleba.

Przypatrzmy się pierwszemu gronu. Różne bywają przyczyny chorobliwego stanu duchowości, rwącej się na wyżyny sztuki bez potężnych sił talentu. Nienormalny rozwój władz psychicznych, wynikający z błędnego wychowania, gra tu najgłówniejszą rolę. W duszy kobiecej nie zdołano odkryć właściwych jej zdolności, nie zdołano rozbudzić jasnego poczucia takowych. Ogólny to błąd wychowania naszego. Rośnie sobie słaba roślinka, tak... jak Bóg da, bez żadnej opieki. Co tam z niej będzie, to już losy pokażą. Rodzice lub opiekunowie nie myślą wcale dochodzić, jakie tam zdolności tkwią w głębi, w jaki sposób należałoby je rozwinąć i na właściwą skierować drogę. Nic więc dziwnego, że wyrośnie to na kwiat piękny, ale niewiadomo do czego przydatny; nic dziwnego, że żadna prawie z dorosłych dziewic naszych nie wie, na jaką drogę mogłaby skierować swe siły, na jakiem polu z prawdziwym pożytkiem pracować. Miarą zdolności jest dla niej ilość *pałek*, otrzymanych onegi od srogiego nauczyciela. A piękno i sztuka nęci te słabe, rozsentymentalizowane dusze; wyciągają więc do niej ramiona. Żądza sławy i oklasków nie obcą jest często i piersi kobiecej. Gdzież sięgnie po owe upragnione laury?... Dwie tylko widzi do nich drogi—*literaturę* i *sztukę*. Do pierwszej rzadko pozwalają zajrzeć szczupłe nader zasoby wiedzy gramatycznej i ortograficznej; zostaje więc tylko druga, do której nie potrzeba ani owej nieznośnej gramatyki, ani nieznośniejszej jeszcze arytmetyki, którą w błogich chwilach szkolnych przeklinało srodze czułe serce dziewicze.

Mniej szlachetne czasami działają tu pobudki. Skarłowaciałą siostrzycą sławy jest tak szeroko rozpowszechniona pomiędzy kobietami, żądza błyszczenia w świecie. Co to za rozkosz zajaśnieć w całym blasku uroczych wdzięków przy świetle kinkietów teatralnych, czuć tysiące gorących spojrzeń zwróconych na siebie, być przedmiotem głośnego uwielbienia szczęśliwych ulubieńców natury i cichego zachwytu nieśmiałych a bezwąsych adonisów!

Oto jasno uwydatnione źródło aktoromanii z powołania.

Smutniejszy widok przedstawia ta choroba w drugiej swej formie. Wchodzimy tu już w zakres kwestyi zarobkowania kobiecego. Wiemy, jak smutny stan przedstawia się u nas w tym względzie, jak mało zdziałano dotąd w tej palącej sprawie, jak mało wrót stoi otworem kobiecie do przybytku pracy, a i te, które się już rozwarły, na jak trudną i ciernistą prowadzą drogę! Zawód aktorki przedstawią się w najkorzystniejszej może postaci, nic więc dziwnego, że nęci ku sobie. Pominąwszy już wstrętne obrazy targowiska wdzięków, które się niestety często powtarzają w drugorzędnych szczególniej przybytkach Melpomeny, widzimy jeszcze spore grono pracownic, szukających tu chleba. W tym względzie fakt aktoromanii kobiecej, który się tak silnie w ostatnich czasach u nas uwydatnia, jest smutną chorobą społeczną, której źródło leży w braku odpowiedniego pola dla pracy kobiecej.

Dwie wskazane wyżej formy aktoromanii w rzeczywistości nie odosabniają się zupełnie, ale przeciwnie, łączą w większej części niepowołanych aspirantek do świątyni sztuki.

Wskazaliśmy źródła choroby. Reszta nie do nas należy...

A. Pilecki.

OBRAZKI
wychowania domowego.

(podług notatek Anny z Potockich Nakwaskiej)
zebrane przez **Z. W.**

(Dokończenie).

IV.

Parę dni upłynęło, zanim się wybrałam do innych znajomych; jużem się nawet wahała, i chciałam poprzestać na przykładach wyżej przytoczonych, chciwość jednak zbadania gruntownego, tak dalece ważnego zadania, zwyciężyła wszelkie rozumowania: pojechałam więc dalej.

Przy ulicy Mokotowskiej, w bliskości rogatek, mieszkała dawna moja przyjaciółka i towarzyszka z pensyi, pani R—ska. Jako uczennica, i koleżanka, słynęła z rozsądku, łagodności i uprzejmości. Do tego talenta, któremi ją natura obdarzyła, postawiły ją na czele wszystkich panienek uczęszczających na pensyą pani L.

Wyszedłszy bardzo młodo za mąż, pani R—ska, stała się wzorową żoną i gospodynią. Znajomi, i koledzy jej męża, zgromadzając się często w gościnnym domu, młodej pary, nie mogli się dosyć nachwalić skrzętności i porządku nadobnej gosposi; zachwycali się elegancką zastawą stołu, smaczną kuchnią—i wogóle porządkiem i wykwintnością, którą wszędzie u nich widziano. Taka żona i gospodyni, musiała też być wzorową matką—nic więc dziwnego, żem z niecierpliwością oczekiwała chwili, w której wznawiając dawną przyjaźń, zasięgnę jej rad zdrowych i praktycznych.

Mieszkanie mej dawnej przyjaciółki, jest dość szczupłe, pod względem jednak hygienicznym, stoi daleko wyżej, niż najwykwintniejsze mieszkania położone w środku miasta. Willa jej składa się z pięciu pokoi, cieplarni, pasażu i kuchni, otoczona zaś jest prześlicznym ogródkiem, mieszczącym w sobie dużo rzadkich i pięknych roślin.

Z ulicy, przechodzi się przez część dziedzińca, zasadzonego woniejącemi krzakami bzu i jaśminu.

Dowiedziawszy się od ogrodnika polewają-

cego kwiaty, że pani jest w domu i przyjmuje, pospieszyłam przez dziedziniec.

Na schodach werandy, ujrzałam chłopczyka lat ośmiu, bladego, z wychudłą twarzyczką. Ubrany w sukienkę flanelową i otulony szalem i płaszczykiem, biedny chłopczyna pocił się i dusił z gorąca. Stojąca za nim bona nie zważając na żałosne uskarżania się—przyszłego obywatela i ojca rodziny, na dokuczające mu gorąco, otulała go coraz bardziej, odpowiadając; że mama kazała Morysiowi, włożyć płaszczyk i szal i że mamy słuchać potrzeba.

W tej chwili weszła pani R—ska. Po czułem przywitaniu, i przypomnieniu sobie dawno ubiegłych lat dziecinnych, zwróciłam jej uwagę na Morysia. Zapytałam czy jest chory?

— O nie, chwała Bogu, odparła matka z przerażeniem, czyś pani jakie symptomaty zauważała?

— Bynajmniej! zdawało mi się jednak, że jest blady, a ubranie zimowe, w tej porze gorącej, naprowadziło mnie na myśl, że zapewne wstaje z jakiej niebezpiecznej choroby.

— Morysiu, chodź tu, moje drogie dziecię, zawołała moja przyjaciółka, a w głosie jej przebijała się trwoga — czy cię główka nie boli?

— Nie mamuniu!

— Mów prawdę Morysiu, może cię gardło lub głowa boli, możeś się zaziębił? Nie kłam kochanie, gdyż Pan Bóg cię za to karać będzie.

— Ależ mamo ja prawdę mówię — odpowiedział chłopczyk z niecierpliwością, zabierając się do płaczu.

— No to dobrze, idź się bawić, i każ Annie aby ci podała paltocik watowany.

Moryś mrucząc, i z trudnością wstrzymując cisnące mu się do oczów łzy wyszedł z pokoju.

— Zapytałam mej przyjaciółki, o przyczynę takiego otutania i okręcania w szale i narzutki, chłopca 8-mio-letniego.

— Tak trzeba, odpowiedziała mi sucho, dziecko musi koniecznie być ciepło ubrane, gdyż inaczej z łatwością dostaje rozmaitych chorób.

W ciągu dalszej rozmowy, dowiedziałam się ku wielkiemu memu zdziwieniu, że Morysiowi podają co rano do łóżka herbatę — że bielizna jego co rano wyprasowana przez bonę, i zawinięta w flanelę dopiero wtedy podaną jest małemu pieszczochowi, gdyż może być spoconym, a bielizna zimna, niechybnie sprowadziłaby mu katar, gorączkę, tyfus, a wynikiem tego wszystkiego byłaby śmierć niechybna.

Nie mogłam przyjść do siebie z podziwu, nad podobną pieczołowitością — kiedy nagle wojskowa muzyka, grająca marsza pogrzebowego, zwróciła naszą uwagę. Wyjrzawszy oknem, ujrzałyśmy karawan z ponsowym baldachimem, bogatą trumnę ozdobioną wieńcami i kaskiem z białą kitą, za trumną postępowali żołnierze i muzyka.

Pani R—ska, spiesznie wybiegła z pokoju.

Za drzwiami, usłyszałam głosy, pomiędzy któremi rozpoznałam piskliwy głosik Morysia.

— Mamo, mamo, ja chcę patrzeć na to wesele, wszak prawda, mamuniu, to wesele, a w tej budzie siedzi panna młoda?

— Wesele, mój drogi, wesele, ale nie stój koło okna, zaziębisz się! Chodź tu dam ci cukierek!

Chłopiec nie słuchał:

— Powiedz mi mamo jednak, co to jest?

— Wesele, kochanku!

Smutno mi się zrobiło, słysząc coś podobnego; nie spostrzegłam nawet, że przyjaciółka moja, wszedłszy do salonu patrzyła, na mnie z podziwieniem!

— O czem myślisz?—zapytała mnie.

— O wychowaniu dzieci, odpowiedziałam; przyjechałam tu w nadziei, że czegoś się więcej nauczę w tym względzie, że zbogacę mój umysł i oświecę go, twemi radami i zdrowym poglądem na rzeczy i rzeczywiście nauczyłam się!

— Cóż więc cię tak zdziwiło?

— To wesele, odrzekłam, śmiejąc się— o którem z Morysiem mówiłaś!

— No i cóż z tego? Mojem zdaniem, nie należy pokazywać dzieciom smutnej strony życia. Po co mają wiedzieć, o śmierci, o trumnach i pogrzebach?

— Cóż więc z niego będzie? Jakiegoż to członka wychowujesz społeczeństwu? zapytałam z oburzeniem, kiedyż czas przyjdzie na tak ważną wiadomość że życie ludzkie, nie jest sielanką z rodzaju *Watteau*, nie jest idyllą w której świat jest zamieszkany przez pasterzy i pasterki, z trzewiczkami na wysokich korkach i sukienkami z gazy i jedwabiu. Tam słońce zawsze świeci, kwiaty wiecznie kwitną, i zapach ich balsamiczny napełnia powietrze; w rzeczywistości zaś, cóż widzimy? Więcej cierni niż róż, więcej boleści niż wesela, więcej jęków i płaczu, niż śpiewów wesołych. Jakto czy myślisz, że umysł dziecinny apanwany podobnemi myślami i obrazami, nie obudzi się kiedyś, z podobnego odrętwienia, nie pozna rzeczy jak są? nie będzież to dla niego rozczarowaniem, gorzkiem i bolesnem obudzeniem się, ze snu morelnego, które nadto przychodząc odrazu, gwałtownie, niekiedy nawet dotykalnie, wywrze wpływ straszny, wstrząśnie całą duszą, zachwieje wiarę w Boga, w ludzi, a co najgorsza, wiarę w prawdomówność rodziców? o nie widzę już teraz to nieszczęśliwe dziecię, wyrzekające na matkę, i wołające z boleścią: „O matko, matko, pocoś mnie nie oswajała ze smutkiem i troskami tego życia? dlaczegoś pozwoliła żeby to brzemię rzeczywistości, spadło odrazu na me bezsilne ramiona, przygniotło mnie swym ciężarem!

— Zapalasz się—wtrąciła tu pani R—ska, najniepotrzebniej! Moryś może cię usłyszeć i nudzić mnie będzie, ciągłemi pytaniami!

— Tym lepiej, zawołałam z oburzeniem, może w chwili gniewu i niecierpliwości, wymknie ci się słowo prawdy, które go naprowadzi, na drogę właściwą — drogę rozsądku. Wierzaj mi, podobny sposób wychowywania dzieci, na nic się nie zda—zamiast obywateli pożytecznych krajowi i społeczeństwu, utworzy z nich egoistów i ludzi niedołężnych, niezdolnych do wielkich i użytecznych przedsięwzięć.

Na tem się skończyła moja podróż pedagogiczna — wyszłam z domu pani R—skiej z sercem żalem przejętem; postanowiłam się rozerwać i w tym celu weszłam do ogrodu Saskiego, ażeby pod cieniem rozłożystych kasztanów, podumać i przyjść trochę do siebie.

Ogród napełniony dziatkami, milsze niż zwykle na mnie zrobił wrażenie. Istotki te małe, bujające po trawnikach, goniąc się wesoło, z krzykiem radości, pomimowolnie nasumały mi myśli zgodniejsze z życiem praktycznem, niż Moryś, synkowie Doppelmeyerów lub *Jean* pani Kryckiej. Głos poważny zbudził mnie z zadumania:

— Moje uszanowanie, mojej dobrodziejce, jakże zdrowie?

Odwróciwszy się — poznałam staruszka, przyjaciela dawnego moich rodziców. Usiedliśmy na ławce, i zaczęliśmy rozmowę—nieznacznie skierowała się ona na przedmiot najbardziej mnie interesujący — to jest wychowywanie dzieci.

— Tak, tak, Mościa Dobrodziejko, rzekł kiwając głową, za moich czasów inaczej było. Tyle ceremonii z dziećmi nie robiono. Jak dziś pamiętam, że ś. p. matka moja, za złe zmówienie koronki, o Niepokalanem Poczęciu wyliczyła mi na kobiercu 40 bizunów. Pan ojciec, zawsze mi mówił, że bizun i nahajka kozacka, najlepszą są guwernantką, uczą miłości Boga i bliźniego, rozsądku i mądrości:

Rószczka napędza rozumu do głowy,
Uczy pacierza i broni złej mowy!

Dobry koniec do mojej rozprawy pedagogicznej, pomyślałam; na szczęście jednak, i ku wielkiej pociesze mojej córki i siostrzenic, nie jestem konserwatystką, i nie mam zamiaru, wznawiać metody przodków naszych, o których z ustnych tradycyi familijnych wiemy, że bili dzieci dla dwunastu apostołów, dla pięciu ran Chrystusa i za nieposłuszeństwo lub krnąbrność. Różnicę, stanowiły dozy plag udzielanych.

Otóż ze wszystkich mych badań i rozmyślań, przyszłam do przekonania, że matka rozsądna i prawdziwie do swych dzieci przywiązana, znajdzie właściwą drogę którą postępując śmiało, z ufnością w Bogu i pobłażaniem, dojdzie niechybnie do zamierzonego celu.

Z DOMU I DLA DOMU.

— **Surrogat kawy.** Znaczne podniesienie się ceny kawy w ostatnich latach dało pochop do wyszukiwania nowych surrogatów kawy, które dotąd mało u nas były używane lub też wcale nieznane. Obok korzenia cykorji, fig i migdałów, palonych i mielonych na proszek, które paczkami sprzedawano, przygotowują już obecnie kawę ze słodu, marchwi, ziarek winogron itp.—Wiele z tych materyałów przyjęła publika. Jednym z najnowszych surrogatów, wprowadzonym już od paru lat przez firmy hamburgskie upowszechnioną a używaną w stanach zjednoczonych północnej ameryki i innych krajach Europy jest kawa wyrabiana z siemi kawowej i części bobu, znana pod nazwiskiem „sacca,“ której używa się jako dodatek do kawy palonej. Wymienione artykuły na miejscu wyrobu poddają się pewnemu procesowi przez co zdatne są do transportu i przysposobiają do dalszych manipulacyi fabrykacyjnych. Przymioty ułatwiające wprowadzenie „sacca“ polegają: 1-o na jej taniości, 2-o że nadaje napojom smak mocniejszy, 3-o że mąka posiada własność, po wspólnem zmieleniu z kawą, pochłaniania w siebie w znacznej części ulatniającego się aromatycznego zapachu kawy. Z tego powodu kawa mielona pomięszana z „sacca“ utrzymuje się przez czas dłuższy w stanie świeżym i aromatycznym. Okoliczność ta ma wielkie znaczenie w prowiantowaniu wojska. Z tego powodu komisye wojskowe pruskich, bawarskich i saskich oddziałów wprowadziły do użytku ten artykuł; prócz tego wiele instytutów, lazaretów, szpitali i innych zakładów leczniczych i wychowawczych, używających tego fabrykatu w znacznych ilościach wyrażają się o nim z uznaniem. Co się tyczy samego fabrykatu, takowy poddawany bywa chemicznemu badaniu dla wykazania, czy nie zawiera w sobie jakichkolwiek pierwiastków zdrowiu szkodliwych. W zakładach wojskowych najczęściej używany stosunek bywa 60 funtów kawy zwyczajnej i 40 funtów „Sacca,“ skutkiem czego zaoszczędza się co najmniej 20 rubli. Gdzie nietyle mają na uwadze

oszczędność, ale więcej smak właściwy, biorą na 1 część „sacca“ 4 części kawy (20 na 80 części); napój taki ma być dobry a przytem oszczędza się od 9-ciu do 10-ciu rubli na centnarze. (*W—k.*)

— **O doprowadzeniu starego i zblakłego pisma do stanu, aby było wyraźnem i czytelnem.** Bardzo często zdarza się napotykać stare dokumenty i pisma, pisane na pergaminie albo też na papierze wyblakłe skutkiem starości do takiego stopnia, że prócz niewyraźnych śladów nie można nic wyczytać. Przyczyną tego mogła być wilgoć, rozmaite wyziewy, zepsute powietrze niekiedy także zbyt długie wystawienie na bezpośrednie działanie promieni słonecznych, a prócz tego inne wpływy mechaniczne. Odczytanie takich dokumentów, interesujących często i ważnych tak dla historyków, lub też wreszcie jako dokumenty sądowe, jest pożądanem. W najnowszym zeszycie przeglądu wynalazkow, pomiędzy praktycznemi przepisami podany jest sposób odczytywania takich dokumentów, jaki tu przytaczamy: kartę nieczytelną wilgoci sie słabo wodą, i zaraz, za pomocą dużego pęndzla pociąga się siarkowodornym amoniakiem. Pismo występuje natychmiast w czarnym kolorze i staje się czytelnym. Na pergaminie ten czarny kolor pozostaje. W zbiorach germańskiego muzeum w Norymberdze, już od 6-ciu lat używają tego sposobu odczytywania starych nieczytelnych dokumentów. Dokumenty pisane na papierze także w skutek podanego postępowania stają się czytelnemi, ale niektóre po paru dniach stają się znów nieczytelnemi. Przez powtórzenie przytoczonego postępowania na nowo odczytać się dają.

Ponieważ największą część atramentów stanowią atramenty gallasowe czyli żelazne, (przez połączenie wyciągu galasowego z koperwasem żelaza) to łatwy jest do wyjaśnienia zachodzący tu proces chemiczny, przez powstawanie czarnego siarku żelaza, wskutek oddziaływania siarkowodornego amoniaku na pozostałe ślady koperwasu żelaza, przyczem materye organiczne atramentu skutkiem tegoż samego działania zostają zniszczone. Odczynnik ten otrzymuje się już gotowy z jakiejkolwiek apteki. (*W—k.*)

— **Przyczynek do prania tkanin wełnianych.** Do prania wełnianych tkanin i ubiorów przygotowywa się skoncentrowany ciepły roztwór sodowy, dodaje się pół szklanki wyskoku salmiakowego, mniej lub więcej, stosownie do ilości przedmiotów przeznaczonych do prania, zanurza się w tem tkaniny wełniane i tak moczy przez parę godzin, potem dodaje się ciepłej wody i pierze, a następnie płucze w innej wodzie. To samo osiągnąć można, jeżeli do średniej wielkości cebra wody, wleje się szklankę wyskoku salmiakowego, i zanurzy weń tkaniny na półgodziny a następnie wypłucze w czystej wodzie. W obu wypadkach tkaniny nie kurczą się i nie zmieniają koloru. Sposób ten został już wypróbowany z jak najlepszym skutkiem. (*W—k.*)

— **Gruszki.** Gruszki obrane z łupinek przekroić na dwoje, oczyścić ośrodki z ziarnek i oczyszczne w ten sposób włożyć do zimnej wody zmięszanej z sokiem cytronowym, dla zachowania ich białej barwy. Obrane łupinki z tych gruszek włożyć do pomiernego garnka nalać czystą wodą, gotować, dopóki się dobrze nie rozgotują, potem przecedzić przez sito do nowej rynki, a włożywszy do odcedzonego płynu obrane z łupin gruszki, zagotować je dobrze. W ten sposób przyrządzone gruszki wyłożyć na sito aby obeschły należycie, a gdy ostygną ułożyć w szklannym słoju i zachować do użytku. Przyrządzone w ten sposób są smaczniejsze i dają się dłużej przechować niż smażone w cukrze lub miodzie. W dołki pochodzące z oczyszczenia ośrodków z ziarnek można nakłaść drobno usiekanych migdałów.

— **Suszenie brzoskwiń.** Przekrawa się brzoskwinie na dwie połówki ostrym nożem, aby nie uszkodzić na niej zwierzchniej skórki, odrzuca pestkę, rozkłada na lasach w ten sposób, aby wypukła część połówki była na spodzie, dlatego, aby sok z nich niewyciekał. Potem lasy wnoszą się do suszarni, lub mocno ogrzanego pokoju, a zasuszona w ten sposób brzoskwinia nie traci swej soczystości.

— **Kompot z jabłek.** Jabłka nieco kwaskowate obrać z łupinek, wykroić z nich ośrodki i włożyć natychmiast w zimną wodę nasyconą ñieco sokiem cytrynowym, aby swej naturalnej białości nie utraciły. Ugotuj potem ćwierć funta cukru na syrop, a włożywszy w takowy z wody należycie osiąknięte jabłka gotuj w nim, dopóki nie zmiękną. Ugotowane w ten sposób jabłka ułożyć na kompotierce naszpikować nieco gwoździkami korzennemi, potrząsnąć utłuczonym cynamonem, pozostały zas syrop wygotować do zgęstnienia i polać nim jabłka po wierzchu.

Tak samo robi się i kompot z gruszek.

— **Śliwki na rożenkach.** Postrugać dowolnej długości patyczki z dojrzałej trzciny wodnej i ponatykać na nie dowolną liczbę śliwek węgierek oczyszczonych z pestek i poukładać takowe na blasze lub lasach. Następnie w środek w miejsce pestek ponasypywać nasienia anyżku, lub drobno usiekanych migdałów i wstawić w letni piec, aby wyschły. Wsadzanie do pieca należy powtarzać kilkakrotnie dopóki śliwki nie dosuszą się jak należy, przestrzegając aby się niepopaliły, a gdy się dosuszą zachować w szklanym słoju do użytku. Podają się jako przekąska po wódce.

— **Przechowywanie melonów.** Wybrać melon nie zupełnie dojrzały i w jak najpóźniejszym czasie zagrzebać w przesianym popiele w jakiem naczyniu drewnianem, byle tylko bezpośrednio niedotykał się ścian, zakryć szczelnie z wierzchu, postawić w suchem i chłodnem miejscu byle nie zimnem, aby nie przemarzł. Wten sposób przechowują się świeże melony do miesiąca grudnią lub stycznia.

— **Konserwowanie świeżych owoców.** Świeżo upalone węgle utrzeć jak najmielej, i poprzesypywać tym proszkiem ułożone w baryłkach owoce. Ponieważ węgle niedopuszczają ani zbytniego zimna ani gorąca, owoce zatem długi czas bez zepsucia przechowywać się dają. Środek ten używanym jest w południowej Francyi.

ROZMAITOŚCI.

Luźne notatki z podróży odbywanych po kraju

przez

J. L. Kaczkowskiego.

VI.

Ogólny zwierzostan wynosi 885 rodzajów i 13,342 gatunków. W tej liczbie nie ma jednakże ani jednego okazu, który byłby wyłącznie właściwym tej miejscowości, ale prawie wszystkie spotykają się i w innych okolicach Europy, gdy tymczasem na przyległej przestrzeni między Bugiem a Dnieprem przemieszkuje żubr białowiejski, którego nie ma w całej Europie.

Zwierząt ssących znajduje się 20 rodzajów i 62 gatunki,—z tych:

a) Swojskie: konie, bydło rogate, owce, muły, osły, kozy, świnie, psy, koty, króliki.

b) Dzikie: wilki, lisy, kuny, tchórze, wydry, sarny, nórki, jelenie, zające, borsuki, dziki, gronostaje, źbiki, nietoperze, skrzeczki i t. p.

Ptaków 84 rodzajów i 246 gatunków. W tej liczbie: bażant, kura, perlica, indyk, gołąb, gęś, łabędź, kaczka; swojskie. Z dzikich zaś łowne: cietrzewie, dropie, jarząbki, kuropatwy, przepiórki, kaczki, cyranki, słomki, bekasy, kuliki, głuszcze, kwiczoły i inne. Znaczna liczba ptastwa dzikiego jest wędrowną, i ta w jesieni odlatuje do cieplejszej strefy. W podróży swej stale trzymają się te ptaki kierunku znaczniejszych rzek, jak u nas np. koryta Wisły do ujścia Sanu, Dunajca i Wisłoki a w kierunku tej ostatniej rzeki zwracają się ku południowi, dolatując do gór Karpackich. Inne znowu gatunki zalatują na zimę, jak: jemiołuchy, kwiczoły, srokosze (Lanius excubitor), kaczki lodówki (Anas glacialis et hyemalis), i t. p.

Ryb 23 rodzaje i 52 gatunki, w tej liczbie: jesiotr, łosoś, szczupak, pstrąg, sielawa, sum, sandacz, karp, lin, minóg, okuń, leszcz i t. p.

Płazów 10 rodzajów i 28 gatunków.

Skurupiaków 13 rodzajów i 50 gatunków, a między niemi rak, ślimak jadalny.

Pająków 41 rodzajów a 113 gatunków.

Owadów 650 rodzajów i 12,700 gatunków,—w tej liczbie muchy hiszpańskie (Lytta vesicatoria), czerwice, pszczoły, jedwabniki i wieie innych.

Wedle spostrzeżeń flisaków i orylów, spław, którym idą ziemiopłody od Karpat do Gdańska, daje obszerne pole de czynienia spostrzeżeń, których znowu zdobycze tradycyonalnie pokoleniami z ojca na synów przechodzą i są niejako regulaminem posługującym do odbywania żeglugi po Wiśle. Jeśli w czasie panujących deszczów wiatr wieje północny, sprowadza na Wisłę, tak zwaną przez nich *Krakówkę*, to jest przybór wody od szląskich rzek, mianowicie Soły i innych skrapiających okolice cieszyńskie i oświecimskie Wiatr zachodni tak zwany *Kujawa*, pędzi wody na San a stąd do Wisły i wtedy przybór wody na Wiśle poczynając od Zawichostu dochodzi nieraz stóp dziewięciu, a w górze ku Krakowu woda trzyma się w mierze. Wiatr zachodnio-północny zwany przez nich *morką*, jako wiejący od morza Baltyckiego, pędzi wody do Wisły z Wisłoki, Dunajca, Raaby i innych, bardzo mało uderzając na źródła samej Wisły i wtedy przybór powstaje poczynając od Opatowca w powiecie Pinczowskim. Wiatr wschodni nietylko nie powoduje żadnych przyborów, ale wypędza i wysusza wody w Wiśle, jako osłonionej od Karpat, na Dniestrze zaś w czasie wschodniego wiatru podczas spadania deszczów, wody przybierają i opadają wciągu dwunastu godzin.

Statki kursujące po wodach spławnych w kraju naszym i Prusach są płaskodenne, po większych zaś rzekach jak Wiśle, Warcie, Niemnie, Kanale Augustowskim: *berlinki* mieszczące w sobie 200 beczek (beczka zboża zawiera w sobie cztery korce krakowskie w strych) ładunku; *dubasy*, biorące na siebie od 8 do 14 ludzi i 20 łasztów zboża; *wiciny*, po Niemnie do Prus, biorą około 3,000 korcy zboża; *szkuty* od 16 do 20 ludzi; *galary*, statki większegö rozmiaru bez masztu, potrzebują najwyżej 12 ludzi do obsługi i zabierają 15, 20 do 30 łasztów; *tratwy*, *łodzie*, *barki*, *czółna*, po wszystkich wodach.

Różnorodne plemiona Słowian, jak Lechitów, Lenzenów (następnie przezwanych Łęczycanami), Kujawian, Mazurów, Chrobatów i innych, po przyjęciu wiary chrześcijańskiej zlały się w jednę polityczną całość pod nazwą Polan którą im nadali Czechowie, od *polania* święconą wodą, dla odróżnienia od niepolanych jeszcze, czyli nieochrzczonych, raczej prawowiernych od pogan. W pierwszym dopiero Dytmarze piszącym w XI wieku, znajdujemy pierwszy ślad imienia polskiego; że zaś Dytmar był biskupem kościoła rzymskiego, zacierającym przeto najstaranniej wszelkie narodowości w interesie Watykanu, nie ulega przeto najmniejszej kwestyi, iż nazwa pierwotnych Polan, z których następnie urobiono Polaków; nie pochodzi ani od *pól*, ani od wojowania w otwartym *polu*; tym więcej od Lecha jak poganina, ale od dopełnionej ceremonii *polania* chrzestną wodą. Oprócz Polaków ludność miejscową składają Rusini, Litwini. Niemcy, Żydzi, Tatarzy, Cyganie, oraz w małej cząstce inne narodowości jak Francuzi, Włosi, Szwajcarzy, Grecy, Anglicy i t. p.—Ogólna ludność wedle dokonanych spisów, wynosiła w 1871 roku 6,193,712 w tej liczbie żydów 614,923; przypada zatem na 1000 chrześcian 131 żydów, na milę zaś kwadratową 2,800 dusz. W roku 1816 ludność Królestwa Polskiego wynosiła 2,717,287 to jest na milę kwadratową 1171 dusz; wciągu zatem półwieku (55 lat) przybyło ludności 3,476,425 a na jednę milę kwadratową dusz 1629.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57. Дозволено Цензурою, Варшава 16 (28) Сентября 1875 г. Wydawca i Redaktor, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom drugi.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 51).

Chciałbym wiedzieć co teraz porabiasz i gdzie jesteś w tej chwili. Kiedy sobie przypomnę że rok temu byłeś organistą u św. Hildegardy, i wierzyłeś tylko w muzykę, a pomyślę potem, że się teraz znajdujesz w Zachodnich Indyach, przedzierasz się przez blokadę, i narażasz się na różne niebezpieczeństwa, zdaje mi się, że to jest wszystko snem. A! gdyby tak było rzeczywiście, i gdybym się w tej chwili obudził i znalazł się w naszych pokoikach pod *Srebrnym Pstrągiem*.

To mi przypomina, żebyłem w przeszłą sobotę na wystawie Akademii sztuk pięknych, tam spotkałem—zgadnij kogo? Pana i pannę Alleyne. Pytał się o ciebie, i powiedziałem mu, że jesteś w Indyach Zachodnich; ani słowa naturalnie o blokadzie; byłoby niebezpiecznie teraz o tem mówić! Prosili mnie, żebym ich odwiedził w Konsington, i obiecałem że przyjdę. Zdawało mi się, że ona miała ochotę czegoś więcej o tobie się dowiedzieć, ale nic nie powiedziała; zbladła od czasu kiedy była w Chillingford i wydała mi się wyższą. Pan Alleyne wystawił przepyszny obraz w środkowej sali: *Ateny Peryklesa*, naturalnie sprzedany, i nikomu innemu jak panu Jakubowi Hardwicke.

Taraz, do widzenia, mój kochany. Napisz do mnie kilka słów, żeby mi donieść jak się miewasz i co się z tobą dzieje, nie wymagam żebyś się do mnie rozpisywał, ale o te kilka słów cię proszę. Pamiętaj o sobie, jeżeli możesz.

Twój szczerze przywiązany:
Arczybald Blyth.

De Benham dwa razy odczytał ostatnią kartkę tego listu, i złożył go z westchnieniem. Nie widział panny Alleyne od dnia kiedy ją spotkał w Ogrodzie Kensington, a to było... zaraz po Bożem Narodzeniu, to jest siedem miesięcy temu. Nie wiedziała, że był w Indyach Zachodnich. Trudno było się temu dziwić, ale nic teraz się o tem dowiedziała; Arczy jej to powiedział, i Arczybaldowi się zdawało że radaby była czegoś więcej się dowiedzieć. Biedaczka! zbladła także... ale nic nie mówiła. Dlaczego nic nie mówiła? Czy przez dumę, czy przez obojętność? Kiedy ją widział ostatnim razem była bardzo swobodną i wesołą. Ale na co się zdało o tem myśleć? i powtarzając sobie, że na nic się to nie zdało, De Benham odpieczętował czwarty list.

Ten list go przeniósł w świat nigdy nie zapomniany, i nigdy nie mogący być zapomnianym, ale tak rzadko teraz zajmujący jego myśli, że wspomnienie o nim prawie trwogą go napełniło. List ten mówił o ludziach, których twarze, głos, cała powierzchowność, tak doskonale znanemi mu były dawniej; przenosił go do miasta, gdzie każdy dom, każde drzewo było jakby starym przyjacielem, kiedy wspominał o akademii, zdawało mu się że chodzi po tych często odwiedzanych salach; kiedy o parafialnym kościele, odgłos dzwonów uderzał o jego ucho, jak gdyby rzeczywiście je słyszał. Donoszono mu że Herr von Kinkel, kapelmistrz Wielkiego Księcia umarł. Jak go doskonale pamiętał De Benham, w peruce, w orzechowym surducie, z orderową wstążeczką przy dziurce od guzika; przypominał sobie nawet malowanie na jego tabakierce. Herr Zschokke podał się do dymisyi z katedry starożytnych języków i zamieszkał w Freydorf. Fraülein Thimme poszła za mąż, ale nie za starego radcę miejskiego Brauna, tylko za niejakiego doktora Blitza z Berlina, niedawno osiadłego w Zollenstrasse. Mały liryczny teatr na Fischmarkt spalił się. Hotel pod Koroną został przebudowany. Syn dyrektora pocz Philippart dostał złoty medal na ostatnich egzaminach za obraz olejny, a Bernhard Clauss za najlepszą symfonią. Nareszcie Franz o sobie donosił, że został niedawno postawiony na czele prywatnej orkiestry Wielkiego Księcia, i miał nadzieję zastąpić, jako kapelmistrz, zmarłego von Kinkla; gdyby się to urzeczywistniło, długoletnie marzenia ziszczoneby zostały, bo mógłby się ożenić,

— „Przypominasz sobie moję narzeczoną, mówił dalej, złotowłosą Anusię, jak ją nazywałeś. Ma zawsze te same złote włosy, i jest równie dobrą i kochaną. Jesteśmy zaręczeni przeszło od czterech lat, i na to żebyśmy się mogli pobrać, potrzebuję tylko trochę więcej stałego dochodu. Biały domek z zielonemi okiennicami, na rogu Nordlingen Strasse jest właśnie pusty; jeżeli mi się poszczęści, najmę go zaraz. Niewielki to dom, ale będzie dość obszerny dla nas; pragnienia nasze nie sięgają wysoko; miłość tylko nasza nie zna granic.

Moja narzeczona dostanie tysiąc talarów od swego wuja, a i ja zaoszczędziłem małą sumkę na zakupienie mebli. Oby mi się tylko dostała posada kapelmistrza!“

Ściemniało się już, kiedy De Benham ukończył czytanie tego listu, pozostał jednak w swojej kajucie, utkwił oczy w słowa przyjaciela, wsparł głowę na ręku a myśli jego daleko błądziły. Przypominał ją sobie tę złoto włosą Anusię, Była to córka niemajętnego księgarza na Römer Strasse, i prawie codzień ją widywał robiącą pończochę w sklepie ojcowskim. Jakże się wtedy wyśmiewał z Franza Kielman, uważając tylkośmieszną stronę tego jawnego niemieckiego uczucia. Teraz, nie miał jakoś ochoty się śmiać. Owszem prawie im zazdrościł tej cierpliwej, wiernej, poczciwej miłości, tych czterech lat wspólnej ufności, tych skromnych nadziei, tego zadowolenia ze swego położenia. „Pragnienia nasze nie wysoko sięgają, miłość nasza tylko nie zna granic.“ Szczęśliwi, trzykroć szczęśliwi!

— I ja także, i ja tak ją kochałem, szepnął po cichu, i drugi raz głęboko westchnął, a *ona* była to Julia Alleyne.

Tak—kochał ją przez dwa lub trzy tygodnie. I on także przemarzył ten sen roskoszny i poznał to słodkie upojenie, ale się nadzwyczajnie prędko otrząsł z marzenia, a upojenie, gdy go opuściło, zostawiło go dziwnie trzeźwym. Były jednak chwile w których nie mógł stłumić żalu za temi słodkiemi wspomnieniami, i powtarzał sobie, że ich nigdy już, nigdy nie dozna. Czuł, że raz tylko mógł kochać, a wiedział że kochał niegdyś, a teraz już nie kocha. Gdyby okoliczności były inaczej wypadły, gdyby się byli dawniej poznali i byli zaręczeni od paru lat, lub nawet od kilku miesięcy, nim nastał ten dzień, gdy w kościele Benhampton złożył uroczystą przysięgę nigdy może nie byłby się tak zmienił lub gdyby jego serce pozostało nietknięte jeszcze kilka lat, dopóki wielki cel jego życia nie został dokonanym, i gdyby wtedy pokochał piękną i szlachetną kobietę, ach! wtedy nicby go od niej nic miało siły oderwać. Byłby ją kochał, i tylko *ją*, na wieki. Ale teraz... teraz, niestety! święty ten ogień wypalił się zupełnie, tylko proch i popiół zostały po nim. Żaru jego nic już nie mogło przywrócić. Nie był zdolnym dwa razy kochać; przemarzył marzenie i obudził się; dotknął się ustami czary i do dna jej nie wychylił, a wszystko minęło, i musiał się tylko starać, żeby więcej o tem nie myśleć. Żale, wymówki westchnienia były deremne, i więcej niż daremne, nie mogły, przywrócić przeszłości ani jej odnowić w przyszłości. Po drugi raz więc tego dnia postanowił oddalać o ile mógł ten przedmiot od myśli swoich, i schowawszy swoje listy, poszedł wypalić cygaro na pokładzie z kapitanem.

Było to cechą znamionującą tego człowieka, znamionującą może większą część ludzi w podobnych okolicznościach, że nigdy się nad tem niezastanawiał, iż wszystkie te zmiany były jego dziełem. Nigdy sobie nie wymawiał tego co uczynił; niemiał nawet pojęcia że on był tego sprawcą. Czuł, że przyszłość jego musiała być smutną i jałową, i litował się nawet sam nad sobą z tego powodu, ale nigdy nie przyszło mu na myśl ulitować się nad panną Alleyne; powiedziawszy sobie że od dawna o nim zapomniała i że nie dbała o niego—miał jej nawet za złe że tak prędko o nim zapomniała. Gdyby kto śmiał był mu poprostu powiedzieć, że on, Temple De Benham przełożył swoję dumę nad swą miłość i bez serca sobie w tej mierze postąpił, byłby się czuł głęboko obrażony i zaprzeczył temu z równie silnem przeświadczeniem o swojej prawości jak czynił kiedy mu raz Arczy powiedział, że zmienił zdanie. We wszystkiem co się stało widział tylko rękę przeznaczenia, siłę okoliczności, potrzeby swego położenia i t. p.—Że był w tym razie własnem swojem przeznaczeniem, że sam wybrał swoje położenie i stworzył te potrzeby, były to zapatrywania, które ani na chwilkę na myśl mu nie szły.

ROZDZIAŁ III.

Jak świat się obracał.

Świat szybszym pędem jak zwykle zdawał się toczyć w tym czasie, o którym piszemy i wielkie wypadki następowały po sobie, w Ameryce, z nagłością wprawiającą nieledwie w słupienie Europę. Po trochu zajęcie to pełne ożywienia zamieniło się w tę obojętność, z jaką zapewnie widzowie w Rzymie przypatrywali się ostatnim walkom szermierzy, po długim dniu igrzysk w Amfiteatrze Flawiuszów. Za każdą pocztą dowiadywano się, że stany się odrywały, że nowe wojska powstawały, że bitwy były staczane. Wiadomości dochodzące co dwa tygodnie byłyby mogły wystarczyć do zapełnienia gazet przez trzy miesiące. Ale w tych dniach lata 1861 roku, widzowie dopiero co zajeli swoje miejsca, widowisko tylko co się rozpoczęło, trąby dopiero hasło dały, i bój naprawdę dopiero się wszczynał. Bitwa pod Big Bethel, 10-go czerwca, po której nastąpiły w przeciągu jednego miesiąca bitwy pod Kartaginą, pod Atenami, pod Rich Mountain i niezliczone utarczki w stanach Wirginii i Missouri, były pierwszemi okropnemi próbami, i kiedy De Benham po pierwszy raz przeciskał się przez blokadę, sławna bitwa pod Bull Run została stoczona koło Centreville zaledwie o cztery mile od Washington.

Wiadomość o tej bolesnej przegranej północnych dopiero co doszła do Nassau, kiedy *Ptak Burzy* przybił do lądu, żeby wypakować swój ładunek. Tutaj, jak i w Anglii, ogólne współczucie dzieliło się pomiędzy obie strony, ale większość, jak można było się spodziewać z powodu bliskości Stanów Południowych

trzymała za Skonfederowanymi, a że wiele ludności pochodzącej z tych sąsiednich wybrzeży znajdowało się na wyspie, i nie brakło też Amerykanów z Północy, okazanie tych uczuć stawało się czasem głośnem i namiętnem. Na wybrzeżach, na rynku, w jedynym hotelu, w domach i na dworze, w całem miasteczku mowa tylko była o Bull Run i o wojnie.

— Wytrzepaliśmy, ich jak psów i jak psy uciekli, mówił zapalony Południowiec do De Benhama, który zanadto zajęty, żeby rozmawiać o polityce z nieznajomym, pilnował wyładowywania okrętu.

— Wojsko Potomaku już nie istnieje, powiedział drugi.

— Dwadzieścia tysięcy zabitych i rannych a reszta w nieładzie uciekła do domu, dodał trzeci. To z pewnością koniec wojny.

— Nie koniec wojny, tak jak nie koniec świata, zawołał gniewnie chudy, wysoki mieszkaniec Północy. Jestem rodem z Bostonu, znam naszych żołnierzy, jeżeli ich dzisiaj wytrzepali, oni jutro cały świat wytrzepią. Nazywacie ich psami; zaczekajcie trochę a jak ich jeszcze spotkacie to będą niedźwiedziami i tygrysami.

— Widać, że wam Yankesom łatwiej mówić niż bić się, rzekł z pogardą ten który pierwszy przemawiał.

— Zobaczycie jaką wam, przeklętym buntownikom, naukę damy, nim się to skończy, odpowiedział Yankes rozzłoszczony.

Przekleństwa się sypnęły, potem wzięto się do pięści, nagle nóż zabłysnął, i gdyby obecni nie byli się wdali, krew byłaby popłynęła. Z trudnością rozdzielono przeciwników i De Benham, który za kołnierz wyciągnął Bostończyka miał wierzch ręki głęboko rozdrapany nożem. Mały, czerwony oficer angielski przybiegł natyshmiast.

— Co to jest! powiedział; nie potrzebujemy, tutaj wojny domowej. Jesteście na gruncie angielskim, jeżeli chcecie się bić to udajcie się gdzieindziej. Rozejdzcie się zaraz, albo każę wszystkich tu obecnych Amerykanów zaaresztować za naruszenie pokoju.

Tłum się rozproszył, nieprzyjaciele odeszli z ponurą twarzą, żeby się spotkać i kłócić znowu nim noc nadejdzie. Podobne sceny powtarzały się kilkanaście razy na dzień podczas pobytu *Ptaka Burzy* w Nassau.

Nazajutrz rano, gdy De Benham o wszystkiem zapomniał, Yankes powrócił. Statek zawsze przy brzegu stał, wyładowywanie dalej się odbywało, i zajęty nadzorca pilnował jak wczoraj roboty; amerykanin usiadł na pace bawełny, zapalił cygaro i rozpoczął rozmowę.

— Miałeś pan dobre chęci, powiedział, ale byłbym wolał odrazu się rozprawić.

— Było ich czterech przeciw panu jednemu, rzekł De Benham, zapisując paki w swoim pugilaresie.

— Może być, odpowiedział Bostostończyk; nie rachowałem ich.

— Do tego byłeś pan bezbronny, a ten wysoki meżczyzna miał nóż.

— Byłbym wolał jednak odrazu się rozprawić, powtórzył Bostończyk zamyślony.

— Sześć set czterdzieści ośm, sześć set czterdzieści dziewięć, sześć set pięćdziesiąt, zawołał majtek na okręcie, i De Benham zapisał sześć set pięćdziesiąt w pugilaresie.

— Niełatwo to przebić się przez blokadę, myślę, powiedział Yankes po chwili.

De Benham nic nie odpowiedział, był to przedmiot, o jakim trudno mu było mówić z poddanym tych Stanów, których prawa, jako neutralny, przekraczał.

— Nie byłbym od tego, żeby z panem wejść w interes o tę bawełnę, ciągnął dalej drugi, po niejakiem milczeniu. Musiałeś ją tanio kupić.

— Chcę, ją drogo sprzedać, powiedział De Benham uśmiechając się.

— Ja ją kupię i dam dwadzieścia pięć procent wyżej od tego co pan zapłaciłeś, i trudno żeby ci można więcej ofiarować.

De Benham potrząsł głową.

— Jeżeli rzeczywiście myślisz pan żeśmy przebili się przez blokadę, powiedział, jakże możesz chcieć kupować tę bawełnę. Z waszego stanowiska jest ona nieprawnie nabyta.

— Nie widzę, żeby bawełna, jako bawełna była gorszą dlatego, powiedział Bostończyk sucho.

I usiłował namówić De Benhama do powiedzenia co zapłacił i co chciał wziąć, dopóki nie przyprowadził go do niecierpliwości.

— Mam zamiar zatrzymać bawełnę dopóki nie będą mi za nią ofiarowywać dwa szyllingi i pół w Liwerpool, powiedział nareszcie. Jeżeli chcesz pan tyle dać, to dobrze, a jeżeli nie, nie marnujmy słów na próżno.

Amerykanin ściągnął usta i pogwizdnął.

— Jeżeli takie są warunki pana, rzekł, to chyba nie na tym świecie ukończysz interes.

Wypowiedziawszy to pocieszające proroctwo wstał i odszedł.

Nazajutrz wieczór, zaraz po zachodzie słońca, *Ptak Burzy* znów opuścił Nassau, tym razem w kierunku Hawanny, a że się udawało z jednego portu neuatralnego do drugiego, bez żadnego ładunku, mogli swobodnie popłynąć, wiedząc, że nic im nie zagrażało pomiędzy wyspami Bahama i Kubą.

Czas ciągle był prześliczny, słońce codzień wschodziło i zachodziło z większym blaskiem i upał stawał się coraz większy. Niedługo *Ptak Burzy* musiał walczyć z siłą prądu Gulf Stream, co opóźniało naturalnie jego pochód. Dwa razy, w ciągu drugiego dnia został ujrzany i zatrzymany przez czatujące statki Stanów Zjednoczonych, które jednak mógłby był ominąć gdyby miał do tego powody, ale czując się bezpiecznym, wywiesił flagę angielską i przyjął oficerów Federalnych ze spokojem trochę niecierpliwiącym dla tych przenikliwych północnych amerykanów. Nareszcie znaleźli się pod zwrotnikiem Raka i w parę godzin później wpłynęli do portu Hawanny.

W tym Neapolu Indii Zachodnich, ze swemi pagórkami okrytemi lasami, uroczą zatoką, upajającym klimatem, swemi ulicami i placami przypominającemi Hiszpanią, swą katedrą, teatrem, kawiarniami, balami, cygarami i lodami—De Bonham nie zatrzymał się ani godziny dłużej jak wymagało zakupienie nowego ładunku.

Kapitan i inni oficerowie, nie mając nic do czynienia, wyladowali i bawili się; majtkowie także pokolei otrzymywali urlopy, tylko nadzorca ładunku ciągle pracował, zaczynając z rana skoro świt i kończąc dopiero wieczorem kiedy zmęczoną głowę przykładał do poduszki.

Pierwszego dnia zaraz, odkrył że zarząd wyspy Kuby robił wszystko co było w jego mocy żeby popierać handel i przemysł hiszpański. Hiszpańskich win, oliwy, i wszelkich hiszpańskich towarów, można było dostać obficie i tanio, ale protekcyjne cła na zagraniczne wyroby były tak wysokie, że czyniły ich wprowadzenie prawie nie możliwem. Angielskię towary tak byłyby drogo kosztowały że postanowił zabrać ładunek zupełnie różny od pierwszego. W miejsce trzewików, butów i innych gotowych wyrobów, kołder, itp., zakupił grube hiszpańskie wełniane kapy fabryki andaluzyjskiej, skóry z Korduby, broń z Barcelony i 100000 funtów prochu w baryłkach. Przy tych wszystkich zakupach musiał się bronić jak mógł przeciw kupcom kubańskim. Nadprzyrodzoną prawie okazywali zdolność do oszukiwania, dopóki interes nie był skończony i w nadprzyrodzoną popadali apatyą, kiedy po zakupieniu już pozostawało tylko oddać towary. Przez czternaście dni De Benham ciągle targował się, groził, błagał, namawiał, chodził z handlu do handlu w najnieznośniejszy upał, pilnował odbioru swoich zakupów ze składów, towarzyszył im na wybrzeża, był obecnym. kiedy je ładowano, i zdawało mu się, że przez te czternaście dni on jeden tylko pracował, bo w tem mieście rozkoszy i lenistwa, kobiety przepędzają życie kołysząc się na swoich stołkach lub przejeżdżając się w powozach, a mężczyzni nie mają innego zajęcia prócz palenia olbrzymich cygar długich na siedem cali.

Nareszcie, o czwartej popołudniu pietnastego dnia, gdy wszystko było gotowe do wyjazdu, zjawił się nowy sternik, wolny murzyn, czarny jak noc, i wypłynęli na spotkanie niebezpieczeństw jakie na nich mogły czychać pomiędzy wybrzeżami Kuby i Stanu Alabama, bo cel ich podróży musiał być zmienionym stosownie do miejsca wyjazdu, a najbliższym portem od Hawanny była Mobile.

— Konsul Stanów Zjednoczonych bardzo jest podejrzliwy, powiedział sternik wskazując na zgrabny okręcik przesuwający się przy wejściu do przystani.

De Benham ujrzał wtedy, że zgrabny ten okręcik miał flagę amerykańską i że na pokładzie stał mężczyzna pilnie śledzący ich poruszeń przez podwójną lornetę teatralną. Badania jego byłyby zapewne przybrały postać czynniejszą gdyby był mógł dość spiesznie podzielić się ze swemi podejrzeniami z jakim Federalnym okrętem; ale żaden taki okręt nie znajdował się wtedy w pobliżu Kuby, i podwójna jego lornetka była bardzo niewinną bronią.

Szczęściem dla *Ptaka Burzy* i dla tych którzy się na nim znajdowali, blokada bardziej południowych portów była wtedy mniej ścisłą niż w Charleston i innych miejscach dotykających do stanów północnych. Nikogo prawie nie spotkali, dopóki się nie znaleźli o osiem lub dziewięć mil od lądu, a i wtedy nie więcej jak trzy lub cztery razy musieli zmienić kierunek drogi, nim noc okryła ich swemi cieniami.

We trzy godziny później potrafili prześliznąć się przez podwójną, nieregularną linię blokujących okrętów, i o wschodzie słońca, trzeciego dnia po wyjeździe z Hawanny, znaleźli się na kotwicy o kilkaset łokci od malowniczego miasta Mobile.

ROZDZIAŁ IV.

„Sabrina” spotyka „Ptaka Burzy.”

Raz jeszcze bezpieczny i szczęśliwy, przepłynąwszy przestrzeń leżącą pomiędzy Ameryką i Kubą, uszedłszy chociaż z trudnością przed czatującemi okrętami i spuściwszy się z nadzwyczajną szybkością pędem wód Gulf-Streamu, *Ptak Burzy* wpłynął trzeci raz do portu Nassau, jednego skwarnego dnia wrześniowego, w siedm tygodni po swoim wyjeździe do Hawanny. Siedm tygodni! Krótki to był przeciąg czasu, żeby zakupić, naładować, i przewieść dwa ładunki, i jeden sprzedać, żeby dwa razy przebić się przez blokadę pod Mobilą i dwa razy przebyć z jakie sto osiemdziesiąt mil; krótki czas, żeby dużo w nim zrobić i to jeszcze wśród upałów podzwrotnikowych; bardzo krótki przeciąg, żeby zarobić przynajmniej sto pięćdziesiąt tysięcy funtów sterlingów, a jednak dość długi żeby sprawić wielką i widoczną zmianą w małym porcie Nassau.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)